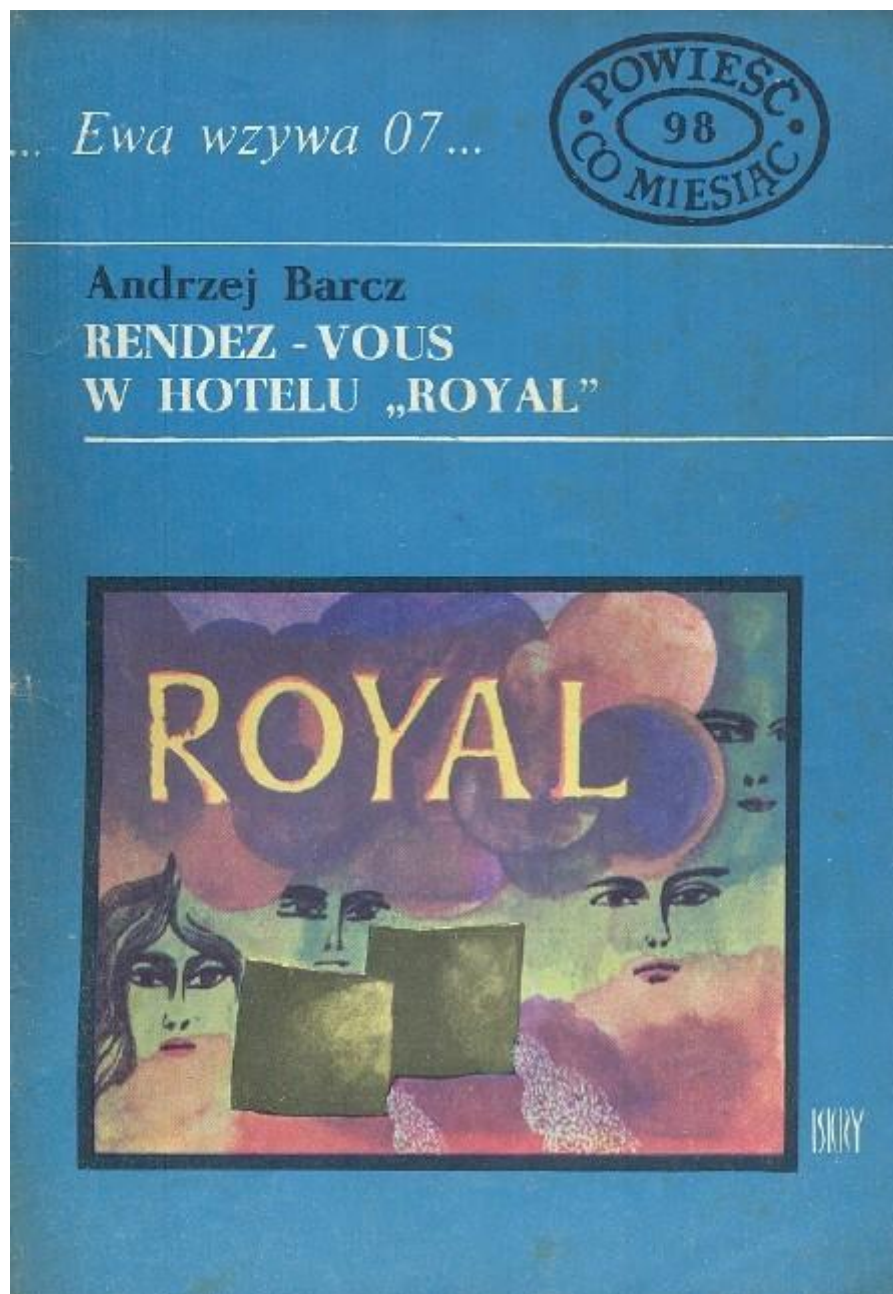


*Ewa wzywa 07... Ewa wzywa 07...*

# Barcz Andrzej

## Rendez-vous w hotelu „Royal”

---



Silniki odrzutowego Boeinga mruczały cicho. Lol na trasie Paryż — Warszawa, oznaczony numerem 976, rozpoczął się. Na podświetlonych tabliczkach zapaliły się napisy pozwalające na rozpięcie pasów.

Jan Kowalewski wyciągnął się wygodnie w fotelu. Wbrew pozorom nic był jednak spokojny i odprężony. Wyciągnął z kieszeni Il' Figaro i próbował czytać. Nie mógł się skupić. Wyobrażał już sobie żonę i synów oczekujących na lotnisku, późniejsze wizyty rodziny i sąsiadów, miny wiecznie zazdrosnych kolegów. W całym dotychczasowym życiu jakoś nie widział nic wesołego.

Był to jego pierwszy urlop w kraju od czasu, kiedy przed blisko półtora rokiem objął funkcje doradcy handlowego polsko-francuskiej spółki „Corcx” w Paryżu. Jego dotychczasowa kariera nie była typowa. Prace w handlu zagranicznym rozpoczął po wojnie jako starszy goniec, maturę zrobił dopiero mając lat trzydzieści. Później rozpoczął studia i starsi pracownicy ze zdziwieniem obserwowali jego parcie do przodu, jak dla nich zbyt szybkie, a w przekonaniu żony Kowalewskiego o wiele za wolne. W pracy zadziwiał jednak wszystkich swoją pilnością, a także przewyższającą ową pilność ambicją. Przy wyjazdach był jednak pomijany i dopiero od niedawna sytuacja zmieniła się. Został przedstawicielem w Budapeszcie, gdzie spisywał się nadspodziewanie dobrze, tak że w rok później zaproponowano mu pracę w paryskim oddziale „Corcxu”.

Teraz leciał na zasłużony urlop, w czasie którego oprócz załatwienia kilku interesów miał zamiar poddać się lekarskim oględzinom docenta Kuznowicza. Jego żołądek nie wytrzymał już skromnego kawalerskiego gospodarstwa, żona, której szczerze nienawidził, a także obawiał się jak nikogo na świecie, przedstawiała w listach coraz to nowe żądania. Paryskie ceny sprawiały, że do niedawna najadał się tylko kanapkami na przyjęciach, w których ze względu na handlowe niekiedy uczestniczył.

— Kawa czy herbata? — spytała po raz drugi stojąca przy nim stewardesa.

— Kawa! — odpowiedział machinalnie, rozglądając się jednocześnie po wnętrzu. Dopiero teraz zauważył siedzącą obok niego dziewczynę, całą w dżinsowych błękitach, pogrążoną w lekturze kryminału w żółtej lakierowanej okładce.

Podniosła oczy czując na sobie jego wzrok. Była ładniejsza, niż sądził. Zmieszał się tym odkryciem i nie chcąc, aby to dostrzegła — lubił przecież panować nad wyrazem swojej twarzy, w czym niektórzy widzieli źródło jego zawodowego powodzenia — zaczął nerwowo składać gazetę. Chuda francuska stewardesa roznosiła śniadanie.

Jan Kowalewski w Paryżu nabrał męskiej pewności siebie. To miasto pełne młodzieży, ze swoją atmosferą niefrasobliwości sprawiło, że ten zahukany małżonek, obnoszący wiecznie ten sam wymięty garniturek, kupiony mu przez żonę w przystępie jednego z nielicznych przyprawów dobroci, teraz zmienił się nic do poznania. Wracając po pracy do swojego małego pokoiku, wysoko podnosił głowę, przypatrywał się kobietom, a niekiedy ku własnemu zdumieniu odwracał się za nimi. Pomimo że kobiety nic były mu nieprzychylnie, wszystko jednak z niewiadomych powodów kończyło się na tym, iż ten przystojny, o lekko siwiejących skroniach mężczyzna zasypiał czytając Playboya lub inne kolorowe piśmko, co w jego wieku nic mogło być objawem pocieszającym. Wierzył jednak święcie w rychłą odmianę tego stanu rzeczy.

W samolocie linii Air France, nie zważając na zbliżające się z szybkością dziewięćset kilometrów na godzinę oblicze żony. Kowalewski postanowił dać z siebie wszystko. Wykorzystał chwilę, kiedy dziewczynie, chcącej zająć się swoim śniadaniem, wypadła z ręki książka. Schylił się wtedy szybko, uderzając przy

tym głową o fotel przed nim, podniósł książkę i z uśmiechem podał ją sąsiadce. Kiedy uśmiechnęła się w niemy podziękowaniu, spytał swoją dobrze wyuczoną francuszczyzną:

— Przepraszam, czy pani po raz pierwszy udaje się do Polski?

Dziewczyna popatrzyła na niego badawczo, zatrzymując wzrok na krawacie zawiązanym ciasno pod szyją, pomimo dość wysokiej temperatury panującej w samolocie.

— Często wracam do Polski. Jestem Polką — odpowiedziała językiem Elizy Orzeszkowej.

— Jak to miło spotkać w samolocie rodaczkę — mówił szybko bojąc się, że za chwilę przestanie się nim interesować. — Pozwoli pani, że się przedstawię. Moje nazwisko Kowalewski.

— Joanna Zając.

Ucałował z gracją podaną dłoń umieszczając pocałunek gdzieś w okolicy zegarka firmy Seiko, błyszczącego na jej przegubie.

— Nie wiem jak pani, ale ja nie mogę doczekać się powrotu do Warszawy. Jestem w Paryżu dyrektorem dużego polskiego przedsiębiorstwa, budujemy we Francji obiekty przemysłowe na wielką skalę...

W rzeczywistości spółka, którą reprezentował Kowalewski, sprzedawała, zresztą z powodzeniem, szybkoobrotowe wiertarki dentystyczne.

... — Te ciągle rozjazdy — kontynuował — bywanie w różnych ministerstwach. To wszystko razem bardzo mnie wyczerpało.

— Rozumiem pana bardzo dobrze. Moje paryskie dni także były pracowite. Jestem z zawodu scenografem. W tym sezonie pracowałam na zaproszenie Comédie Française. Robiłam im projekty dekoracji do Szkoły żon. Może był pan na tym, mieliśmy bardzo dobre recenzje — w głosić miała lekką chropowatość, nic pasującą do jej delikatnej urody.

Kowalewski miał ochotę potwierdzić, lecz w ostatniej chwili przestraszył się rozmowy o sprawach teatru. Ostatni raz był w nim przed wiciu laty, po prostu otrzymał bilety darmo w radzie zakładowej, a miejsca sąsiadowały z fotelami, na których miał zasiąść jego ówczesny przełożony.

— Nie misiem okazji obejrzeć. Cóż zrobić, „skoro tyle pracy, ale postaram się to nadrobić natychmiast po powrocie. Ma pani wspaniały zawód, można pozazdrościć. Jednak, prawdę mówiąc, jeśli miałbym sądzić z urody, to wziąłbym panią raczej za aktorkę — Kowalewski rzeczywiście dawał z siebie wszystko.

— Jest pan miły, ale to na pewno komplement' — zawiesiła umiejętnie głos czekając na zaprzeczenie.

— Czyżbym wyglądał na mężczyznę pławiącego komplementy?

— Wygląda pan na mężczyznę niebezpiecznego.

— Ja? — zdziwił się. — Ale dlaczego?

— Po prostu może pan się podobać kobietom, a tacy często bywają niebezpieczni.

Teraz dopiero Kowalewski wzruszył się. W jego życiu żadna kobieta nie powiedziała mu nic podobnego. Zaczął więc mówić dużo chcąc okazać się wszechstronnym towarzyszko. Dziewczyna słuchała jego mętnych opowieści ze schlebującą uwagą, od czasu do czasu tylko, korzystając z chwili, kiedy nabierał oddechu, wtrącała kilka słów, pod urokiem których rozplątywał się do reszty.

Dopiero stewardesa przypominająca o zapięciu pasów przed lądowaniem uprzytomniła mu, że za chwilę będzie musiał pożegnać niecodzienne zjawisko, któremu na imię Joanna. Zaczął nastawać więc na zdobycie numeru jej telefonu. Opowiadał o swojej samotności i długich wieczorach w Warszawie. Dziewczyna była teraz bardziej powściągliwa i tylko sugestywnie odmalowane prze^ niego chwile, jakie mogliby spędzić w Paryżu wśród bonzów światowego przemysłu, przekonały ją wreszcie i podyktowała mu swój warszawski numer, Zapisał go w notesie zmieniając kolejność cyfr i umieszczając przy słowach: Dział zaopatrzenia i zbytu. Oczywiście mistyfikacja ta miała na celu zmylenie zawsze czujnej żony.

Kiedy do samolotu przytoczono schody, wysiadali razem. Kowalewski stopniowo dochodził do siebie. Stawał się znowu poważnym handlowcem, ocenił bacznie sytuację. Kątem oka dostrzegł na tarasie dla oczekujących żonę w czerwonej sukni, Jacka i Michała, którzy machali do niego jak opętani. Joanna i inni pasażerowie także kiwali w kierunku tarasu, więc i on wyciągnął rękę pozdrawiając. Starał się robić to tak jak sportowiec przybywający do kraju po wygranych zawodach: z sympatią, lecz godnie. Nie chciał, aby dziewczyna zorientowała się w jego rodzinnych układach. Postanowił rozstać się z nią w chwili, kiedy wszyscy pasażerowie prowadzeni przez stewardesę wejdą do budynku lotniska, a żona nie zdąży jeszcze zejść z tarasu.

Kiedy na chwilę zniknęli z oczu czekających, przypiął się ustami do ręki dziewczyny. Miał do niej zadzwonić za dwa dni. Te dwa dni będą dla mnie długie jak wieczność, tak się właśnie wyraził. Przedzieliła ich naraz grupa turystów japońskich, podróżujących po Europie; obwieszeni mnóstwem aparatów, mieli wielką ochotę rozpocząć fotografowanie na lotnisku.

Kowalewski po odprawie paszportowej podchodził do długiego Stołu celników. Od Joanny przedzieliło go kilka osób. Nie myślał już o żonie i o tym, czy kolorowe kurtki i spodnie spodobają się synom. Stało mu się to nagle obojętne.

Celnicy pracowali szybko, bezbłędnie oceniając każdego pasażera. Podróżni mogli być więc zadowoleni. Wreszcie przyszła kolej na Kowalewskiego. Starszy kontroler Portu Lotniczego Okęcie Józef Marciniak, mały mężczyzna o bystrych badawczych oczach, przypominający, jak mawiali koledzy, sójkę, która nie wybiera się za morze; spojrzał w deklarację.

— Czy nic więcej pan nie przywozi?

— Tylko to, co napisałem.

— Oczywiście, rozumiem.

Walizka została jednak otworzona. Marciniak mówił później, że zrobił to bardziej na skutek wieloletniego instynktu niż z konkretnej potrzeby. Po tym podróżnym mógł się spodziewać najwyżej małego kalkulatora ukrytego wśród koszul. Delikatnie wsunął rękę do wnętrza dużej, maksymalnie wypakowanej walizy. Jego palce swobodnie, jak palce wirtuoza poruszały się między masą nylonowych opakowań. Nic wyczuwając i nic dostrzegając nic podejrzanego miał już zamykać walizkę i wtedy właśnie zastanowił go dziwny kształt jej wnętrza. Skórzana walizka miała z zewnątrz kształt prostokąta, natomiast w środku rogi były delikatnie, lecz wyraźnie zaokrąglone. Przesunął ręką po jedwabnej podszewce. Było to dość dziwne rozwiązanie, gdyż zabierało przecież cenne miejsce. Jednak w tak dużym neseserze nie miało to zbyt wielkiego znaczenia i zagraniczna firma mogła w ten sposób ozdobić swój produkt. Pod palcami wyczuwał tylko normalne usztywnienie. Spojrzał na pasażera. Nie wyczuł u niego żadnych oznak zdenerwowania, a tylko zniecierpliwienie. Chciał już zakończyć odprawę, nagle jednak zdecydował inaczej. Zaryzykował ewentualne skargi podróżnego i skinął na swojego młodszego kolegę, debiutującego dopiero w zawodzie po odbyciu specjalnego szkolenia w ośrodku w Świdrze. Walizka powędrowała na inny stół,

— Będzie pan musiał chwilę poczekać — zwrócił się do Kowalewskiego.

— Mówiłem przecież, że nic nie przywożę! Co wy wyrabiacie z ludźmi. Czeka na mnie moja żona — zirytował się Kowalewski.

Joanna z innymi pasażerami opuszczała już strefę celną.

— To naprawdę nie potrwa długo.

Z walizki wyjęto wszystkie rzeczy. Do Marciniaka podeszło jeszcze kilku celników. Odprawa samolotu została zakończona, do następnej była jeszcze chwila czasu.

Marciniak ostrożnie przeciął na szwie jedwab obicia. Pod spodem ukazała się niebieska tektura.

Przeciąć ją czy nie! — myślał gorączkowo. Koledzy mieli niewyraźne miny. Za cztery minuty miał lądować Pan American z Nowego Jorku. Spróbował lekko odkleić. Szło opornie. Szarpnął mocniej. Tektura puściła odsłaniając wnętrze... Małe owinięte w czarny papier paczuszki leżały tam równo poukładane.

Wrażenie było duże. Celnicy, oglądający w swej pracy wiele dziwnych rzeczy, teraz zamilkli. Marciniak szybko porozcinał tekturę w trzech pozostałych rogach. Na stole piętrzyło się już dwadzieścia czarnych torebek. Rozcięto jedną z nich. Do podstawionego pojemniczka wysypał się biały proszek.

Ewa Kowalewska przechadzała się nerwowo po hali lotniska. Wokół niej pełno było ściskających się ludzi. Nie mogła upilnować Jacka i Michała, którzy rwali się na poszukiwanie ojca. Pasażerowie samolotu z Paryż;; dawno już wyszli szacowani wzrokiem przez taksówkarzy. Do gości dewizowych podbiegali bagażowi. Zespół podchmielonych gości stroił instrumenty, żeby dziarskim pohukiwaniem przyjąć kuzyna z Chicago. Dwaj taksówkarze omal się nie pobili o to, który z nich ma wieść grubasa w garniturze w żółtą kratkę. Jana Kowalewskiego ciągle nie było. Minęło pół godziny i jego żona chciała już wracać do domu sądząc, że fajtlapowaty małżonek nie zauważył jej i dzieci i czeka teraz w domu. Rozglądała się za telefonem, kiedy z pomieszczeń służbowych wyszedł siwy mężczyzna w stalowym garniturze. Rozglądał się chwilę i wreszcie bez, wahania podszedł do niej.

— Pani Kowalewska, prawda?

— Tak, a o co chodzi? — Nie wiedząc dlaczego dziwnie się wystraszyła.

— Mam do pani dwa słowa na osobności. Kiedy odeszli kilka kroków zostawiając siedzących na ławce chłopców, powiedział zniżając głos:

— Mąż pani został zatrzymany do dyspozycji prokuratora. Będziemy musieli jechać teraz do domu państwa.

Na basenie Legii było tego dnia mnóstwo ludzi. Sierpień, jak całe zresztą lato, był wyjątkowo upalny. Wszyscy, którzy dysponowali wolną chwilą, szukali w Warszawie miejsca, gdzie można by zamoczyć nogi.

Paweł Wert rozparty wygodnie na leżaku należał właśnie do tych szczęśliwców. Jego szef udzielił mu dwu dni wolnego wiedząc, że nie był jeszcze na urlopie, a w lipcu pracował za dwóch.

Siedział więc teraz na basenie, chcąc się chociaż trochę opalić, co przy jego śniadej cerze nic trwałoby długo. Był zły na nieznaną dziewczynę, która przed dobrą godziną prosiła go o przypilnowanie rzeczy i

do tej pory pluskała się wesoło w wodzie, otoczona wianuszkami hasających z nią kulturystów. Chciało mu się pić i z zazdrością patrzył nawet na facetów popijających wygrzaną w słońcu coca-cola. Już dość dawno poprosił małego chłopca o przyniesienie czegoś do picia i z braku drobnych dał mu pięćdziesiąt złotych. Powoli przestawał wierzyć w długą kolejkę.

Z tranzystora dolatywały dźwięki hejnału. Słońce grzało coraz mocniej. Paweł poprosił wreszcie o opiekę nad ubraniem starszego, opalonego na brązowo pana i zamierzał nie wychodzić z wody co najmniej przez godzinę. Wstał już z leżaka, gdy kątem oka dostrzegł dwóch mężczyzn w garniturach, z trudem przeciskających się wśród rozłożonych ciasno obok siebie nagich ciał. Na ich widok usiadł z powrotem rozglądając się za swoimi skarpetkami. Wszyscy przyglądali się im ze zdziwieniem, a ci szli, jakby szukając w tym tłoku więcej miejsca. Paweł wiedział już, co się za chwilę stanie. Dostrzegli go i szli w jego stronę. Włożył koszulę.

— Panie poruczniku — zaszeptał mu do ucha jeden z nich, nachylając się nad leżakiem. — Stary kazał was znaleźć i jak najprędzej przywieźć do komendy.

— Idźcie do samochodu, wyglądacie tu jak przybysze z Bieguna Północnego. Zaraz tam przyjdę.

Kończył ubieranie jednocześnie wypatrując w wodzie dziewczyny, której ubraniem opiekowali się teraz razem ze starszym panem. Zauważył ją, kiedy była już na brzegu i szła w jego stronę. Kiedy spojrzała, pokiwał jej wskazując ręką na rzeczy. Uśmiechnęła się rozczarowana trochę, że ten przystojny chłopak odchodzi tak szybko.

Szara wołga stała przy wejściu na basen. Do bagażnika włożył składany rower, którym ostatnio jeździł w każdej wolnej chwili. W samochodzie pomimo otwartych okien było gorąco jak w piecu. Starszy sierżant Sypniewski, najlepszy kierowca Komendy Głównej, za kilka sekund włączył już czwarty bieg. Samochód prawie unosił się nad ziemią. Skręcili w Trasę Łazienkowską. Paweł zrozumiał teraz, dlaczego nie zdejmowali marynarek, przy tej szybkości powietrze wpadające do samochodu było już chłodne.

Wziął papierosa z wyciągniętej w jego stronę paczki. Nie pytał, co to za sprawa, dla której wzywa go major Biesaga. Wiedział, że nie jest to nic błahego, jeżeli jeszcze wczoraj major kazał mu odpocząć trochę po rozpracowaniu „Złotego Gangu”.

Samochód z piskiem opon zatrzymał się przed komendą. Sekretarka majora widząc, że Paweł zdyszany jest po przebyciu biegiem trzech piętér, uśmiechnęła się przepaszająco.

— Cały pośpiech na nic Major przed kwadransiem wyszedł, na naradę. Może to potrwać trochę.

Paweł zaklął w duchu, wściekły na ten cholerny pośpiech, i zrezygnowany usiadł w fotelu. Na szczęście narada nie była długa, bo już za chwilę major wpadł jak bomba nakazując Pawłowi iść za nim do gabinetu.

— Dobrze, że jesteś! Siadaj! — major wyglądał na bardzo zmęczonego, a przecież niedawno był na urlopie. Wszystko to razem nie wróżyło nic dobrego. — Tego nam jeszcze brakowało. Połowa ludzi na urlopie, a tu taka sprawa — zapalił papierosa i nerwowo przerzucał akta leżące na stole.

Z całego tego wstępu można było się domyślić, że dwa dni wolnego diabli wzięli, ale dziwna nerwość szefa zainteresowała Pawła.

— Historia jest ciekawa — kontynuował major. — U polskiego handlowca pracującego w Paryżu znaleziono w czasie odprawy celnej w Warszawie tysiąc dziewięćset gramów czystej heroiny. Po przerobieniu daje to prawie trzydzieści kilogramów narkotyku gotowego do sprzedaży. Wartość tego ładunku to w przybliżeniu milion dolarów. Widzę, że nie spodziewałeś się po mnie takiej fachowości — roześmiał się nerwo-

wo patrząc na zdumioną minę Pawła. — Tak .właśnie wyliczyli nasi eksperci, taka ilość heroiny w Polsce musiałaby być sprzedawana bardzo długo i to po cenach horendalnych, żeby wyrównać wartość tego ładunku na tamtych rynkach, nie mówiąc już o potencjalnym braku kupców na takie ilości. Kto więc dzisiaj inwestuje pieniądze w takie interesy? Przywieziono największą ilość narkotyków, jaka kiedykolwiek była w Polsce. Mamy sprawcę. Musimy teraz wiedzieć, jak wpadł na ten idiotyczny pomysł, który zresztą, jak sam się przekonasz, realizuje w wyjątkowo fachowy sposób.

— Co mówił przemytnik?

— Nie przyznaje się do niczego. Jest twardy. Przesłuchiwany jest prawie bez przerwy. Zrobiono dokładne przeszukanie w domu. Sprawdziliśmy całe jego życie. Wszystkich jego polskich znajomych... Żadnych poszlak.

— A znajomi francuscy?

— Z tym jest gorzej. Ale jeśli będzie trzeba, to ściągniemy po kolei wszystkich pracujących w tamtejszym oddziale „Corexu”. Nawiasem mówiąc Kowalewski ma u swoich polskich szefów opinię jak najlepszą. Sam widzisz, co może zrobić człowiek z dobrą opinią. Sprawę trzeba natychmiast ruszyć z miejsca. Mamy już interwencję poważnych czynników. Bierz się do roboty. Kapitan Zawisniewski, prowadzący to śledztwo, zwrócił się do mnie, aby cię przydzielić do niego. , Będziecie się u mnie meldować każdego rana i wszystko relacjonować. Afera jest duża, pierwsza tego typu w Polsce, dlatego mimo urlopów dodaliśmy trzech ludzi. Nic dziwi cię teraz, że przerwałem ci te wolne dni.

Rozmowa była skończona. Paweł poszedł szukać Zawisniewskiego, Znalazł go we własnym pokoju zawalonego papierami. Na widok Pawła uśmiechnął się niewyraźnie.

— Siadaj, stary. Dobrze, że cię w końcu znaleźli, Mam tu taki młyn i jeszcze na dodatek ten upał. Chyba się nie pogniewasz, że cię wrobiłem w tę historię, ale naprawdę się tu przydasz. — Otarł pot z wysokiego czoła.

— Nie ma o czym mówić. Sprawa jest interesująca.

— Co z tego, że interesująca, kiedy sam się przekonasz, że nie ma jak jej ugryźć.

— Zawiadomiłeś zainteresowane tym instytucje zagraniczne?

— Wysłaliśmy komunikaty do Interpolu i Międzynarodowego Komitetu do Walki z Narkotykami. Mają wkrótce nadesłać meldunki o poczynaniach grubych ryb w tym fachu. Trzeba przyznać, że informacja zrobiła na nich wrażenie.

— Na mnie też.

— To co, bierzesz się do roboty? — Zawisniewski jak zwykle bardzo się spieszył i stąd, jak żartowali koledzy, wzięła się jego zaawansowana łysina.

— Oczywiście.

— Może chcesz go jeszcze raz przesłuchać?

— Nie, zostawmy to na jutro. Dzisiaj, jeżeli pozwolisz, wezmę niektóre materiały i zapoznam się z nimi na tapczanie w domu... Byłem chyba dzisiaj za długo na słońcu i piekielnie boli mnie głowa.

— To może być porażenie — w sprawach medycznych Zawisniewski uchodził za autorytet. — Weź popirynę i kładź się do łóżka, żebyś na jutro był gotowy. W tej teczce masz wszystko, co zebraliśmy do tej

pory... Niedawno przegląda! ją major i pomimo że pochwalił za wszystko, cośmy do tej pory zebrali, to jednak nie miał najweselszej miny. Wtedy właśnie załatwiłem dodatkowych ludzi. Podobno zdolnych! — Zawisniewski spojrzał na Pawła bez swojego zwykłego uśmiechu;

Wyszedł na rozgrzaną jeszcze ulicę, choć słońce chowało się już za domami. Głowa bolała go coraz bardziej. Nie miał siły na jazdę rowerem. Zostawił składak w garażu komendy i do domu pojechał tramwajem. Jego kawalerka wszystkie okna miała na zachód i w mieszkaniu, było gorąco jak w piecu. Ulica była bardzo ruchliwa i kiedy przychodził do domu, parapety : resztę mieszkania pokrywała cieniutka warstwa kurzu. Trzeba by się wreszcie ożenić, pomyślał wyciągając z lodówki przedwczorajsze hamburgery. Nic mógł jednak nic jeść. Zły na swoją lekkomyślność, połknął polopiryne i popił masą zsiadłego mleka, którego miał zawsze dużo w domu. Skierował mały wiatraczek tak, aby dmuchał prosto na niego, i zagłębił się w fotelu z teczką na kolanach. Po chwili musiał wstać, żeby. nastawić radio mające zagłuszyć awanturę dobiegającą zza ściany. Wrócił do lektury i dopiero o czwartej nad ranem udało mu się zasnąć.

Kiedy do pokoju wprowadzono Kowalewskiego, ten po tygodniowym areszcie w niczym nie przypominał pasażera linii Air France, Fly, co prawda ogolony, lecz jego koszula i garnitur miały w sobie coś niechlujnego.

Albo facet jest z tych, którzy stają się flejtuchami, kiedy tylko tracą swoje komfortowe warunki, albo jest tak przejęty wpadką, że o nic nie dba — pomyślał Paweł oceniając go wzrokiem,.

Kowalewski siedział zgarbiony na krześle, jego dłonie bawiły się guzikiem marynarki. Z niepokojem patrzył na nową dla niego twarz.

— Nazywam się Wert i jak pan widzi dołączyłem do grona ludzi, którym pana nieodpowiedzialne postępowanie — zaczął Paweł — sprawia wiele kłopotu.

Kowalewski nic nie odpowiadając patrzył teraz bezmyślnie na jakiś punkt na biurku.

— Czytałem wielokrotnie to, co pan tu opowiada. Na początku żałowałem pana, sądząc, że nie zdawał pan sobie w pełni sprawy z tego, co pan robi. — Paweł mówił łagodnie i Kowalewski spojrzał z nadzieją w jego stronę. — Kiedy jednak okazało się, że pan wciąż uważa się za niewinnego, choć znaleźliśmy w pańskiej walizce narkotyki... Daruje pan, ale w to już nikt nie uwierzy.

— Kiedy to wszystko szczerą prawdą — głos Kowalewskiego drżał.

— Przecież to pańska walizka?

— Tak, ale wszystko, co tam znalezione, jest nie moje. Wierzcie mi.

— Wszystko czy tylko narkotyki?

— Oczywiście tylko narkotyki.

— To już zaczyna być śmieszne. Sam pan przecież pakował walizkę.

— Tak.

— Schowek w walizce wykonany był artystycznie. Narkotyki owinięto w specjalny rodzaj papieru, chroniącego zawartość przed odpowiednio szkolonym psem. Nie można tego wszystkiego przygotować w



ciągu kilku godzin. No i nikt nie mógł tego zrobić bez pańskiej wiedzy. Zresztą nikt jeszcze nie słyszał o nieświadomym łączniku przewożącym prawie milion dolarów.

— Powtarzam po raz setny: to nie moje narkotyki!

— To w takim razie czyje?

— Nie wiem. To jakaś tragiczna pomyłka. Co ja teraz zrobię? Jak przyjmą to koledzy w pracy?

— To rzeczywiście ciekawe, nie wiem tylko, czy się pan z nimi zobaczy w najbliższym czasie — wtrąci! zniecierpliwiony Zawisławski, który siedział z boku i nie brał dotąd udziału w przesłuchaniu.

— Chcemy panu wierzyć. Proszę jednak podać nam jakieś rozsądne wyjaśnienie. Przecież jest to w pańskim interesie.

— Nie mam już nic do dodania. Znać całe moje życie. Pobyt w Paryżu opowiedziałem prawie dzień po dniu. Nie wiem, jak to się mogło stać. Jestem niewinny, musicie mi wreszcie uwierzyć — w głosie Kowalewskiego dały się słyszeć histeryczne nutki.

— Bardzo dużo pan od nas wymaga — Paweł zaczynał się już irytować, — Branic całej winy na siebie nie doprowadzi do niczego dobrego. Znajdzie się pan samotnie na ławie oskarżonych, a wyrok może być duży,

— Jestem niewinny — powtarzał tamten uparcie.

— No, niech tak będzie. Jak pan chce. Nie jest to najlepsza linia obrony, ale to już pańska sprawa. A teraz proszę jeszcze raz opowiedzieć, w jakich okolicznościach wszedł pan w posiadanie tej walizki.

— Dostałem ją od współpracowników na imieniny. Obchodzę je pod koniec czerwca. Moja dotychczasowa walizka rzeczywiście nie była w najlepszym stanie. Kupił ją żona, kiedy w pięćdziesiątym dziewiątym wyjeżdżaliśmy na wczasy do Ustki. Koledzy musieli to zauważyć i stąd ten prezent.

— A przy okazji naszpikowali walizkę heroiną. Kto też to zrobił? Może wiceprezydent spółki Pierre Falba albo młodszy handlowiec Janusz Konrad? Czy może któraś z koleżanek? Jest tam was w końcu tylko pięcioro.

— To niemożliwe, żeby to zrobiło któreś z nich.

— Więc kto?

— Nie wiem.

— Imię i nazwisko!

— Czyje?

— Pańskie. — Głos Pawia był surowy. Zawisławski uniósł zdziwioną głowę.

— Nazywam się Jan Kowalewski.

— Świetnie, więc to pan wie. Dobrze i to. W takim razie jedziemy dalej. Dawał pan może komuś klucze od swojego pokoju? Jacyś nocujący znajomi?

— Klucz zawsze noszę przy sobie i żadnych znajomych u mnie nie było.

— Czyli znów wróciliśmy do pana. To już zaczyna być nudne — mówiąc to Paweł przeglądał jego poprzednie zeznania, — Jeżeli jednak współpracownicy ofiarowali panu taki ładny prezent, to musieli przedtem dyskutować na temat „co też kupić drogiemu koledze”. Może wic pan chociaż, kto był autorem pomysłu, aby kupić walizkę. Ktoś to musiał zaproponować. Dotychczas pan o tynt nie wspominał.

Kowalewski milczał chwilę, jakby rzeczywiście próbował sobie przypomnieć.

— Sam byłem ciekaw, kto był taki domyślny. Przepytałem się o to dyskretnie i dowiedziałem się, że najbardziej śmiała się z mojej walizki koleżanka Rygielska. Mówiła podobno, że wyglądam z nią jak przedwojenny komiwojażer i trzeba temu wreszcie zaradzić.

— Ona pracuje u was od dwóch lat. Czy się mylę? — Paweł jakby sprawdzał swoją pamięć.

— Nie myli się pan. To bardzo dzielna dziewczyna. — W tej nagłej pochwale można było wyczuć coś, co wykraczało poza normalne zainteresowanie.

— Czy interesował się pan Rygielską także na gruncie prywatnym? —? zaryzykował pytanie Paweł.

— Ależ skąd! — zaproponował Kowalewski, ale zrobił to zbyt gwałtownie.

— To może ona interesowała się panem?

— Na pewno nic w sposób przekraczający nasze stosunki służbowe.

— Jednak jadł pan z nią kolacje? — było to bardziej stwierdzenie faktu niż pytanie.

— Skąd pan o tym wie? — zachnął się Kowalewski i sam się tego zawstydził. — Tak, byłem z nią dwa razy w tanim lokaliku po pracy. Pogawędziliśmy trochę i to wszystko.

— I to wszystko? Ale podobała się panu? — Paweł starał się wpaść w typowo męski ton.

— Ona musi się podobać każdemu. Jest taka piękna — Kowalewski zapalił się do tego tematu. — Gdyby się jednak moja żona o tym dowiedziała...

— Rygielska jest równie piękna jak pańska towarzyszka podróży z Paryża?

— Jaka towarzyszka podróży? — zdziwił się Kowalewski. — Ach, racja, ta scenografka. Skąd o niej wiecie? — I nie czekając na odpowiedź dodał. — Koleżanka Rygielska jest chyba ładniejsza.

— Widzę, że kobiety to pańska specjalność. Ale na razie dość tych miłosnych tematów. Proszę jednak, żeby pan zaczął trochę myśleć. To może się opłacić.

— Kiedy mnie wreszcie wypuścicie? Jestem niewinny.

— Na razie wolność panu nie grozi. Jeżeli jednak jest pan niewinny, to pewno się o tym dowiemy.

Kiedy wyprowadzono Kowalewskiego. Zawisniewski klepnął Pawła w plecy.

— Bardzo dobrze! Bardzo dobrze! - powtarzał. — Udało się z tą Rygielską. Wcale nie taki z niego safunduła. nawet swego rodzaju Casanova. To nam wyjaśnia, na co chciał wydać pieniądze z. tego przemytu.

Kwadrans po dziesiątej w pokoju powiało Paryżem. Joanna Zając prezentowała się tak atrakcyjnie, że Zawisniewski aż podrapał się po ciemieniu. Ubrana była w długą zamszową spódnicę i taką samą kurtkę.

Swobodnie usiadła na podsuniętym krześle i jedyną oznaką zdenerwowania mogło być natychmiastowe wyciągnięcie paczki gitunów.

— Czy mogę się dowiedzieć, czemu zawdzięczam zainteresowanie moją osobą? — powiedziała po wymianie kilku grzecznościowych zdań.

— Interesuje nas człowiek, z którym pani zetknęła się ostatnio. A na początek może nam pani opowie coś o sobie. Pani zdaje się studiuje? — pytania zadawał Paweł, zgodnie z poleceniem Zawisniewskiego.

— Tak, jestem na medycynie. Obecnie jednak w związku ze złym stanem zdrowia mam urlop dziekański.

— I wykorzystuje go pani na pobyt za granicą?

— Tak się jakoś złożyło. Dostałam niespodziewanie zaproszenie od ciotki i pojechałam. Nie mogłam zmarnować takiej okazji — dziewczyna nie wydawała się wcale speszona.

— I gdzie pani pracowała?

— Po tygodniu pokłóciłam się z ciotką. Myślała, że będzie miała bezpłatną służącą. Znalazłam sobie pracę w Cbaville pod Paryżem, u takich bogatych Hiszpanów, którzy na stałe mieszkali we Francji. To byli bardzo kulturalni ludzie — dodała.

— W jakim charakterze pani pracowała? Dziewczyna zaczęła nagle interesować się swoją torbą, bawiąc się nerwowo jej ozdobnymi frędzlami.

— Byłam pomocą, domową — powiedziała wreszcie. — A potem pracowałam w Paryżu w dużej fabryce. Szyłam na maszynie worki jutowe.

— Umie więc pani szyć. To dobry zawód. Zarabiała pani na pewno więcej?

— Tak, i z wolnym czasem mogłam robić, co mi się podobało.

— To rzeczywiście ważne — powiedział smutno Paweł i uznał, że należy chyba przejść do konkretów. — Wracając do Polski siedziała pani w samolocie obok mężczyzny w średnim wieku. Rozmawiał iście...

— Ach, ten dyrektor? — zastanawiała się chwilę. — Nie mogłam się już doczekać lotniska. Straszny safandula i nudziarz.

— Czy nigdy przedtem pani go nie widziała?

— Skąd. Ledwie go zauważyłam w samolocie. Ale był tak gadatliwy, że nie wypadało nie odpowiadać.

— I jak skończyło się to mile spotkanie?

— Był taki natarczywy. Nie mogłam się od niego opędzić i musiałam dać mu swój numer telefonu.

Wydawała się zadowolona z tego, iż rozmowa dotyczy kogoś innego.

— Widocznie był oczarowany spotkaniem słynnej polskiej artystki — Paweł nie mógł sobie odmówić tej małej złośliwości.

— Zażartowałam sobie z niego — odpowiedziała bez cienia zażenowania.

— Czy jego zachowanie w samolocie nie wydawało się pani trochę dziwne?

— Nie, był taki jak urzędnik na wycieczce. Grzeczny, rozmowny, nadskakujący.

— Widzę, że pani zna się dobrze na mężczyznach.

— Ja też tak myślę — spojrzała śmiało na niego.

— A jaki był na lotnisku?

— Taki sam. Trochę się tylko speszył, kiedy zobaczył swoją rodzinę, bo kiwał im tak, abym tego nie zauważyła.

— Czy była pani blisko niego w czasie odprawy celnej? Jaki był wtedy?

— Przedzielały nas dwie osoby. Ale chyba ja byłam bardziej zdenerwowana. Każdy się przecież trochę denerwuje, a on sprawiał wrażenie, jakby tylko myślał, jak by mnie tu najładniej pożegnać. Może się jednak myłę.

Pomimo wszystko dziewczyna zaczynała się podobać Pawłowi. Była nadspodziewanie inteligentna i rzeczywiście mogła mieć powodzenie u mężczyzn. Gdyby się jej jeszcze chciało uczyć.

— Czy nic więcej pani sobie nie przypomina?

— Nie. Na pewno.

Dziewczyna wyszła. Paweł spojrzał na Zawisniewskiego.

— To wszystko bardzo mi się nie podoba. Jestem przekonany, że ten Kowalewski nie ma z tym nic wspólnego, ale ciągle nie widzę rozsądnego wytłumaczenia tej historii.

Zawisniewski miał powątpiewającą minę.

— Lecimy teraz do starego na konferencję. Tam opowiesz o swoich odczuciach.

Przechodzili szybkim krokiem przez korytarz. Pod drzwiami gabinetu majora Paweł uderzył się ręką w czoło.

— Jestem idiotą, szefie, i to wyjątkowym. Idź sam do starego i powiedz mu, że mam ważnego świadka i przyjdę za dwadzieścia minut — odwrócił się i wybiegł, zanim zdumiony Zawisniewski zdążył coś powiedzieć.

Sekretarka majora, pani Halina, czterdziestoletnia blond piękność, wzruszyła tylko ramionami. Znała dobrze Pawła i jego fantazję wykraczającą nieraz poza normy ogólnie w Komendzie Głównej przyjęte.

Wert tymczasem zbiegł szybko po schodach do aresztu śledczego. Porozmawiał chwilę ze strażnikiem. Wkrótce do pustej celi wprowadzono Jana

Kowalewskiego. Nie spodziewał się jeszcze jednego przesłuchania dzisiaj. W jego zaczerwienionych oczach była niepewność. Usiedli naprzeciw siebie.

— Proszę powiedzieć, kiedy ma urlop i gdzie ma zamiar go spędzić Lidia Rygielska. To bardzo ważne.

— Pamiętam to doskonale, gdyż jej urlop w pewnym sensie bardzo mnie interesował. Przyjeżdża do Polski. Którego mamy dzisiaj?

— Dwudziestego.

— Urlop rozpoczyna dwudziestego pierwszego. Powinna więc być najpóźniej za dwa dni.

— W czasie jej urlopu mieliście się spotkać w Polsce?

— Tak.

— Proszę wreszcie opowiedzieć wszystko bardzo dokładnie. Pana gapiostwo dość długo wstrzymywało nam śledztwo, zresztą z największą szkodą przede wszystkim dla pana

— Kocham się w tej dziewczynie — powiedział Kowalewski bez zwyczajnego wahania w głosie. — Marze o tym, aby się z nią spotkać.

— Gdzie mieliście się spotkać?

— Miałem czekać na lotnisku po otrzymaniu telegramu zawiadamiającego o terminie jej przyjazdu,

— A co żona na takie telegramy?

— Telegram miał być podpisany nazwiskiem naszego zwierzchnika. Później znalazłbym jakiś pretekst, aby spędzić z nią kilka dni. Zresztą postanowiłem rozwieść się z żoną, jeżeli mnie Lidka zechce.

— Czy Rygielska była pańską kochanką? Kowalewski spieszył się.

— Nie, ale dawała mi do zrozumienia, że stanic się to w Polsce. Mieliśmy spędzić trzy dni na Mazurach. Ona bardzo lubi łowić ryby To się rzadko zdarza u kobiet Prawda?

— Prawda — Paweł ze zdziwieniem patrzył na tego człowieka, który nawet w takiej sytuacji nie nabrał rozumu, nie zdawał sobie zupełnie sprawy, co mu grozi. — Niech pan mi powie, gdyby Rygielska prosiła pana, abyście się mogli razem na te Mazury spakować. . . . gdyby powiedziała, że nie ma odpowiedniego sakwojażu, a pańska walizka jest taka duża. Co pan aa to?

— Oczywiście zgodziłbym się

— Wystarczy. . . . Niedługo będzie pan musiał przypomnieć sobie nic tylko każdy paryski dzień, ale każdą godzinę.

— Panie poruczniku, nic sądzi pan chyba, że cna ma cokolwiek wspólnego z tym wszystkim?

Major chodził po gabinecie, co było u niego oznaką dużego zdenerwowania. Zawisławski i młody porucznik Powłoka siedzieli wyprostowani na krzesłach nic odzywając się.

— Nareszcie raczyłeś się zjawić. Ja tu odbieram telefony z ministerstwa, a wy nie możecie faceta skłonić do zeznań. Zawisławski jest dla Ciebie stanowczo zbyt tolerancyjny. Jakiego to ważnego świadka przesłuchiwałeś, że musiałeś się spóźnić? —: spytał nerwowo major na widok Pawła.

— Jana Kowalewskiego.

'—? Co? Mało miałeś na to czasu?

— Pozwoli pan major zameldować o swoich ?przypuszczeniach?

— Z przyjemnością posłuchamy wszyscy, jeżeli są rozsądne.

Major usiadł wreszcie i wszyscy patrzyli na Pawła.

— Od samego początku, jeszcze kiedy czytałem akta tej sprawy, nie mogłem jakoś uwierzyć, że jest to robota Kowalewskiego. Ani jego życiorys, ani sposób myślenia, spóźniony refleks w sprawach, pocieszam się, tylko pozazawodowych, nie pozwalają uważać go za sprytnego przestępcę, łącznika jakiegoś potężnego gangu. Podobnie ocenił go celnik, którego zeznania czytałem, a oni rzadko się mylą. Dzisiaj, jak pan major już wie, przesłuchaliśmy dziewczynę, która leciała razem z Kowalewskim samolotem. Podobno nie wydał się wcale zdenerwowany. Człowiek, który po trzech dniach aresztu przedstawia tak opłakany widok, musiałby mieć stalowe nerwy albo być znakomitym aktorem, żeby zachowywać się tak spokojnie na odprawie celnej. Druga rzecz, która mnie zastanowiła: facet w ogóle z nami nie współpracuje, nie ma żadnej wersji wydarzeń, nie próbuje sobie wcale stworzyć jakiegoś alibi. Przecież gdyby wiedział, co wiezie, starałby się mieć przygotowane argumenty pozwalające mu skierować podejrzenie w inną stronę. Na taką ewentualność przygotowaliby go jego mocodawcy. A on milczy z tą swoją głupią miną, jakby wcale nie zdawał sobie sprawy z tego, w co jest wplątany.

Paweł starał się przeniknąć kamienne oblicze majora. Ten milczał chwilę, uśmiechnął się wreszcie znacząco do Zawisniewskiego i powiedział:

— To wszystko, co mówisz, jest bardzo ładne. Następnego dnia po rozpoczęciu śledztwa kapitan Zawisniewski meldował mi coś podobnego. Czekaliśmy teraz, czy i ty odniesiesz podobne wrażenie. Bardzo dobrze, ale w sprawie w dalszym ciągu brakuje konkretów. A jedynym faktem, jaki mamy, jest wwiezienie do Polski potężnej ilości heroiny. Chciałbym wiedzieć, co dalej.

Paweł poczuł się rozczarowany. Myślał, że powie coś nowego, a oni właśnie na to czekali. Przecież ma jednak coś konkretnego.

— Jak pan major już wie, dzisiaj Kowalewski zeznał, że inspiratorką ofiarowania mu walizki była Lidia Rygielska. Ona też ją wybrała sądzę, że mogła odpowiednio spreparować walizkę i czekać, aż zostanie ofiarowana przez wszystkich z okazji imienin. Przed chwilą jeszcze raz przesłuchiwałem Kowalewskiego i dowiedziałem się czegoś ciekawego... — zawiesił głos.

— W jaki sposób mogłaby później wyjąć towar z walizki bez wiedzy Kowalewskiego? — nie wytrzymał Powłoka i major spojrzał na niego karcąco.

— Dowiedziałem się czegoś ciekawego — spokojnie powtórzył Paweł. — Otóż Rygielska przyjeżdża jutro na urlop do Polski, a Kowalewskiemu obiecała spędzić z nim trzy dni na Mazurach. Kowalewski pojedzie z własną walizką, bo w coś się przecież musi spakować. A jeśli nawet walizka zginie gdzieś w Rucianem czy Augustowie, to przecież miłość jest ważniejsza. Oto zeznanie — podał arkusz majorowi, który przeczytał go z uwagą.

— Tak, to rzeczywiście ciekawe — powiedział po chwili. — Tego nam być może brakowało. Poruczniku, natychmiast po odprawie sprawdźcie, czy pod adresem Kowalewskiego nadszedł telegram z Paryża. Jeśli będzie podana godzina przylotu, to zadzwońcie do Paryża i dowiedzcie się, czy Rygielska jest na liście pasażerów. A wy, koledzy — major zwrócił się teraz do Zawisniewskiego i Werta — sprawdźcie wszystko, co dotyczy tej pani. Przypuszczam jednak, że będzie to bardzo zwyczajny życiorys. Jest ona raczej pionkiem w tej całej historii, jednak pionkiem działającym świadomie i przez to mogącym dużo wiedzieć. Powinna zwłaszcza wiedzieć, komu są potrzebne narkotyki w takiej ilości w Polsce. Tą sprawą najbardziej interesują się nasi przełożeni. Jak wiecie, ostatnio na moskiewskim lotnisku Szeremietiewo złapano obywatela szwajcarskiego, który lecąc z Colombo via Moskwa do Rzymu przewoził w torbie podróźnej około dwóch kilogramów haszyszu i marihuany. My mamy coś podobnego, ale z polskim obywatelem na dodatek. A więc, panowie, do roboty, a o wszystkich ważniejszych ustaleniach proszę natychmiast meldować.

— Nie mam do ciebie pretensji, ale mogłeś chociaż uprzedzić, że coś szykujesz. Koleżeństwo koleżeństwem, ale znasz chyba termin „droga służbowa”? — powiedział do Pawia Zawisniewski, kiedy znaleźli się na korytarzu prowadzącym do ich pokoju.

— Przepraszam, to się już więcej nie powtórzy, panie kapilarne — Paweł był wyraźnie zafrasowany.

— No, już dobrze. Pójdę teraz osobiście do „Corexu” na Puławską, by zdobyć dane o Rygielskiej. Przypadkowo znam polskiego szefa tej spółki.

Paweł został w pokoju sam. Siedział przy biurku, po raz któryś wczytując się w akta. Był prawie pewien, że ma rację, ale wyjaśnienie miało nadejść wraz z przyjazdem Rygielskiej. A może Kowalewski jest tak chytry i ta cała jego naiwność jest tylko grą? To niemożliwe, wplątał w to wszystko kobietę, która jeżeli jest niewinna, bardzo łatwo się wybroni. Na razie jednak pozostawało tylko czekanie

O czternastej zadzwonił Powłoka. Telegram nadszedł. Osoba podpisana nazwiskiem Pierre Falba donosiła Kowalewskiemu, że przylatuje jutro o szesnastej trzydzieści. Powłoka czekał teraz na połączenie z paryskim biurem „Lotu”, aby sprawdzić, czy Rygielska jest na liście pasażerów.

Wrócił też Zawisniewski przynosząc dane o Rygielskiej. Dyrektor Dworakowski był o niej jak najlepszego zdania. W życiorysie, tak jak przypuszczał major, nie było żadnych niespodzianek. Pochodzenie inteligentkie. Ojciec przed wojną był komornikiem. Jedyńca. Liceum i studia ekonomiczne ukończone w normalnym czasie. Przebieg pracy nienaganny. Duże zdolności. Cztery perfekcyjnie opanowane języki obce. Przedtem pracowała w Przedsiębiorstwie Handlu Zagranicznego Po ukończeniu specjalnych kursów zaproponowano jej pracę w paryskim oddziale „Corexu” We Francji jest już ponad rok. Otrzymała dwie nagrody za przeprowadzenie udanych transakcji. Panna. Mieszka z matką na Mokotowie w domku kupionym przez ojca jeszcze przed wojną

— Odwiedzimy jej matkę? — spytał Paweł.

— Mamy na (o czas. Poczekajmy do jutra. Dopiero o siedemnastej Powłoka dodzwonił się do Paryża. Dowiedział się, że Rygielska odebrała już zarezerwowany bilet na jutrzejszy lot.

— Dzisiejszy dzień może mieć dla śledztwa duże znaczenie — powiedział major na zakończenie porannej odprawy, na której oprócz trzech oficerów był także pułkownik Kalina, siedzący na fotelu przy oknie i na pozór nie zainteresowany całą tą sprawą, a także prokurator prowadzący sprawę Kowalewskiego.

— Rygielską należy zatrzymać bardzo dyskretnie. Ostatecznie za jej udziałem przemawiają na razie tylko poszlaki — mówiąc to major spojrzął w stronę Pawła. — Zresztą wyjątkowo słabe poszlaki. Myślę jednak, że spiszecie się dobrze^

Odprawa była skończona.

O piętnastej na lotnisko przyjechały dwa samochody. Z pierwszego wysiadł Paweł z Zawisniewskim. Zawisniewski rozmawiał z dowódcą wopistów. Potem ustawili się z Pawłem zaraz za kontrolującymi żołnierzami. Powłoka z dwoma ludźmi wmieszał się w tłum oczekujących. Przed chwilą wylądował samolot z Sofii. Do hali lotniska wysypało się mnóstwo opalonych dzieci w harcerskich mundurach, wypełniając wściekłą wrzawą całą poczekalnię.

O szesnastej dwadzieścia pięć zaczęto spoglądać na zegarki. Podszedł jeden z wopistów i poinformował Zawisniewskiego, że samolot będzie miał małe opóźnienie.

Szesnasta trzydzieści pięć. Czekający przycichli. Kilka osób poszło się czegoś napić.

O szesnastej pięćdziesiąt pilot samolotu z Paryża poprosił wieżę o zezwolenie na lądowanie.

O szesnastej pięćdziesiąt siedem przystawiono schodki.

Paweł obserwował przechodzący przez kontrolę tłum pasażerów. Wśród nich było wiele młodych, modnie ubranych kobiet. Każdej z nich badał się przypatrywał. Oficer służby granicznej nic dawał jednak znaku. Zostało jeszcze trzech pasażerów. Byli to mężczyźni.

Zawiśniewski na przyzwalające kiwnięcie dowódcy straży wszedł za barierkę. Wychodziła właśnie załoga samolotu. Podeszedł do idących stewardes. Pokazał legitymację.

— Interesuje mnie pasażerka Lidia Rygielska. Czy jest na liście?

— Tak — jedna z nich spojrzała w jakieś papiery. — Ale nic zgłosiła się. To się nieraz zdarza — dodała widząc wściekłą minę Zawiśniewskiego.

W komendzie wszyscy chodzili w nie najlepszych humorach.

— Jest tylko jedna możliwość. Została przez kogoś uprzedzona — powiedział Paweł.

— Mogła też zachorować na gripę lub zwichnąć nogę w kostce — nie zgodził się Zawiśniewski.

Major długo nic nie mówił, spacerując nerwowo po gabinecie.

— Wydaje mi się, że masz rację. Trzeba będzie zadzwonić do „Corexu” w Paryżu i spytać, czy czegoś nie wiedzą.

— Najlepiej niech to zrobi Kowalewski, tam przecież nikt nie wie, że on siedzi — wtrącił nieśmiało Powłoka przybyły prosto ze szkoły w Słupsku.

— Nie mamy wcale tej pewności. Musicie jechać na Puławską. Niech dzwoni ich szef pod jakimś pretekstem.

Dyrektor Dworakowski przyjął ich w swoim gabinecie. Wysłuchał prośby i niezwłocznie polecił połączyć się sekretarce z Paryżem. Za kwadrans uzyskano połączenie.

— Tu Dworakowski. Dajcie mi koleżankę Rygielską, jeżeli akurat jest gdzieś w pobliżu...

Przez krótką chwilę panowała cisza.

— Co?! — ryknął do słuchawki dyrektor. — Niemożliwe! — i wsadził Zawiśniewskiemu w rękę dodatkową słuchawkę. — Proszę jeszcze raz powtórzyć.

Po drugiej stronie głos kobiety służbiście relacjonował:

— W tej chwili jest w biurze inspektor policji. Rygielska wypadła z piątego piętra hotelu „Royal”, gdzie wynajęła pokój na jedną dobę. Policja sądzi, że to samobójstwo. W torbce znaleziono samolotowy bilet do Polski.

— Kiedy to się stało? — napisał na kartce Zawiśniewski i podsunął dyrektorowi.

— Podobno wczoraj późnym wieczorem — odpowiedziała kobieta na zadane pytanie.

Dworakowski spojrzał pytająco na milicjantów. Zawiśniewski pokręcił przecząco głową.



— Zawiadomcie mnie jutro o rozwoju wypadków. Proszę też o pisemny raport o całej sprawie.

Nawet major Biesaga, człowiek, którego nic nie mogło zdziwić, kiedy mu zakomunikowali, co się stało, pokiwał ze zdumieniem głową.

— Miałeś chyba rację — zwrócił się do Pawła. — Została prawdopodobnie zlikwidowana, gdy dowiedziano się, że Kowalewski wpadł. Była już niepotrzebna.

— Ciekawe, w jaki sposób dowiedziano się o wpadce Kowalewskiego?

— Wyjaśnienie jest jedno. Miliona dolarów nic puszcza się bez opieki. Powinniśmy byli wcześniej na to wpaść. Kowalewskiemu towarzyszył ktoś, kto obserwował go cały czas. Co proponujecie?

— Trzeba zdobyć listę pasażerów samolotu, którym przyleciał ten pocziwiec, i sprawdzić wszystkie osoby po kolei. — Mówiąc to Zawisławski miał smętną minę. Wyobraził już sobie, jaki ogrom pracy go czeka.

— Bardzo dobrze. Proponuję zabrać się do tego natychmiast

Nazajutrz lista była gotowa. Kilku ludzi pracowało całą noc pod wodzą Powłoki nad opatrzeniem jej odpowiednimi komentarzami.

W południe Zawisławski po krótkiej rozmowie z Pawłem podkreślił na niej jedno nazwisko. Mieli już człowieka, który według wszelkiego prawdopodobieństwa śledził Kowalewskiego. Wzięli listę i poszli do majora.

— Mamy tego człowieka. Jest to chyba niejaki Rene Pingot. Francuz, który przyleciał tym samym samolotem, pokręcił się kilka godzin po Okęciu i odleciał samolotem KLM-u do Amsterdamu. Wygląda więc na to, że przyjechał do Polski spróbować coca-coli.

— Macie rację, to raczej ten. Podesłemy zaraz do Interpolu to nazwisko. Może im się przyda. Dzisiaj dostałem od nich gratulacje z powodu przejęcia tych narkotyków, a także kilka wiadomości. We Francji tylko w roku 76 zatrzymano na dwóch największych paryskich lotniskach nielegalnie przemywane ładunki środków odurzających o łącznej wartości około siedmiu milionów dolarów. Nasz sukces jest więc wcale duży. Jednakże tak jak i my wątpią raczej, aby ładunek przeznaczony był dla Polski. W Paryżu powstało podziemne centrum rozprowadzania narkotyków po całej Europie. Międzynarodowy Komitet do Walki z Narkotykami, Interpol i francuska policja walczą z przemytnikami, lecz nie zawsze skutecznie. Polska miała być raczej krajem tranzytowym, lecz gdzie dalej miał wędrować ładunek i w jaki sposób, już się chyba nie dowiemy.

— A jeżeli przestępcy nadal będą chcieli wykorzystywać drogę przez Polskę?

— Celnicy mają specjalne instrukcje. Wątpię zresztą, aby próbowali jeszcze raz.

— Jeżeli mi wolno powiedzieć swoje zdanie, to nie sędzę, aby mieli zrezygnować z pieczołowicie, wydaje się, przygotowanej trasy. Nawiazali przecież kontakty z Polakami, nie wiadomo jeszcze, w jaki sposób i przez kogo. Nie wiemy, czy ktoś nie jest w to zamieszany. Ja osobiście nic przypuszczam, aby zrezygnowali po tym pierwszym niepowodzeniu.

— Nie pozostaje nam nic innego, jak czekać na następne ich posunięcie, a jeśli je wykonają, to odechcemy im się na zawsze — powiedział niespodziewanie sucho major.

— A co z Kowalewskim?

— Pracownicy „Corexu” muszą złożyć w konsulacie odpowiednie zeznania, opowiedzieć, jak ofiarowali Kowalewskiemu walizkę i jaką rolę w tej zabawie odegrała Rygielska. Poczekamy, aż policja zbada okoliczności jej śmierci. Aha, przypominam wam, żebyście zaraz poszli do jej matki, która jest już powiadomiona o wszystkim, i starali się, oczywiście delikatnie, dowiedzieć się jak rajwięcej o córce. A co do Kowalewskiego niech o jego ewentualnym uwolnieniu zadecyduje prokurator. Ja nic będę miał specjalnych sprzeciwów. Ten człowiek był wyraźnie wrobiony w tę sprawę.

Zawiśniewski był tak zdumiony ostatnimi słowami majora, że zapalka, którą usiłował zapalić papierosa, sparzyła mu- palce.

— A jeżeli jeszcze jacyś Polacy w Paryżu są wciągnięci w tę grę? — spytał Paweł.

— W tej chwili nie możemy nic zrobić. Chyba to zrozumiałeś. Nie możemy nic zrobić — powtórzył jeszcze raz major.

Dom na Mokotowie, w którym mieszkała matka Rygielskiej, był w zupełnie przyzwoitym ślaniu. Starannie oczyszczona alejka prowadziła przez niewielki ogródek prosto pod drzwi wejściowe. Otworzyła im siara kobieta w czerni, o wyglądzie zawodowej żałobnicy. Zlustrowała ich bacznie małymi oczkami.

— Czy pani Rygielska? — spytał Zawiśniewski.

Pokręciła przecząco głową i gestem ręki kazała iść za sobą. Przeszli przez duży, jasny korytarz bacznie uważając, by nic wywrócić się na wypolerowanym do granic niemożliwości parkiecie. Kobieta w czerni wprowadziła ich do pokoju, w którym przy okrągłym stole siedziała starsza pani, przeglądając album ze zdjęciami. Na ich widok podniosła głowę. Miała spokojną twarz, w której tylko oczy zdradzały stan, w jakim się znajdowała. Oczy te patrzyły teraz pytająco.

— Bardzo przepraszamy za najście. Gdyby chciała nam pani odpowiedzieć na kilka pytań. Jesteśmy z milicji.

Była wyraźnie zdziwiona. Odsunęła album i wsiała.

— Oczywiście, jeżeli to konieczne. Przyznam, że oczekiwałam kogoś innego. Miał przyjść urzędnik z „Corexu” mający mi pomóc w formalnościach związanych ze sprowadzeniem ciała mojej córki. Jednak proszę pytać. Odpowiem na wszystko, jeżeli tylko pomogę wyjaśnić to, co się stało. Na razie nikt nie chce ze inną o tym mówić. Miałam jedyną córkę i jej-nic mam. Chyba panowie rozumiecie, co to znaczy.

— Nic umiemy pani dokładnie wyjaśnić okoliczności śmierci córki. Dokładne śledztwo w tej sprawie prowadzi policja francuska. Nie mamy na ich pracę żadnego wpływu. Chcielibyśmy jednak tutaj w Polsce mieć pewien obraz sprawy.

— Siadajcie więc panowie — wskazała ręką krzesła. — Nie wiem, czy będę mogła w czymś pomóc. Kochające maiki wiedzą przeważnie najmniej o swoich dzieciach.

— Czy córka przed wyjazdem zawsze mieszkała z panią?

— Oczywiście. Od śmierci mego męża mieszkaliśmy tu tylko we dwie. Dopiero od trzech lat mamy gosposię. Stać nas było na to, od kiedy Lidia zaczęła lepiej zarabiać. Moja renta po mężu nic jest wysoka.

— Córka miała w Polsce dużo znajomych?

— Ona? Skądże. Często prosiłam ją, kiedy jeszcze studiowała: idź gdzieś na wieczorek czy do klubu. A ona nic, tylko nauka, książki, czytanie po nocach...

— Lubiała też łowić ryb)" — spytał Paweł zdając sobie sprawę z niewłaściwości pytania

— Ryby? Co też panu przyszło do głowy? Przecież to robią chyba tylko mężczyźni — spojrzała na niego, jakby wietrząc w nim wesołka naigrawającego się z cudzej bolesti.

— Czy córka miała narzeczonego albo chłopca, z którym chodziła? — wtrącił szybko Zawisniewski chcąc zatuszować niefortunne pytanie Pawła.

— I tak, i nie — zastanawiała się chwilę. — Nie był to oficjalny naręczony, jakiego bym sobie życzyła. Po prostu napisała mi w którymś liście, że spotkała kogoś, kim jest zainteresowana. Wyczuwałam w tych listach coś więcej niż zainteresowanie. Poprosiłam o szczegóły i dowiedziałam się, iż nawet znam tego kogoś. To dawny kolega Lidki jeszcze z liceum, który ukończył studia plastyczne i od pewnego czasu przebywa w Paryżu, mając tam jakieś sukcesy. Spotkała go przypadkowo i zaczęli się widywać. Nic byłam z tego zadowolona, bo cóż jest bardziej niepewnego jak los artysty. Tak zawsze powtarzał mój świętej pamięci mąż. Nie chciałam się temu otwarcie sprzeciwić... ale nic byłam zadowolona. A teraz to wszystko już nic ma znaczenia. Nie mam córki. I nic się już dla mnie nic liczy.

— Czy córka często pisała do pani?

— Jak na nią bardzo często, bo co tydzień, dwa. Jak dla mnie było to bardzo rzadko.

— Czy w ostatnich listach nie dostrzegła pani jakiejś zmiany? Może córka była pod wpływem jakiegoś silnego przeżycia? Może miała jakieś kłopoty?

— Czyżby sugerował pan samobójstwo? — wyraźnie się obruszyła. — Mógłby w to uwierzyć tylko ktoś, kto zupełnie nie znał Lidki, Była dziewczyną umiejącą cieszyć się z najprostszycich spraw. Kochała życie. Nie miała nigdy żadnych perypetii z mężczyznami. Ostatnio, jak doniosła, spodziewała się jeszcze jakiegoś sukcesu materialnego^ zawodowego. Nic pisała tego dokładnie w Licie, ale coś takiego można było wywnioskować.

— Czy ma pani ten list?

— Oczywiście. Mara wszystkie listy córki. Nie spodziewałam się, że staną się dla mnie wkrótce smutną pamiątką.

— Mogłaby pani nam pokazać listy od córki pisane w czasie jej pobytu w Paryżu?

— Mam je tutaj — otworzyła szufladę stołu i podała Pawłowi plik listów, owiniętych czarną tasiemką. — Ostatni Ust przyszedł wczoraj, pisany chyba na kilka dni przed śmiercią. Nie włożyłam go jeszcze do szuflady. Był bardzo radosny. Pisała w nim, że już niedługo zmieni się moje szare życie i będę mogła przyjechać do niej. Zawsze chciałam przed śmiercią zobaczyć jeszcze raz Paryż, w którym przebywałam w latach swojej młodości. Kochane dziecko zawsze pamiętało o swojej biednej matce — przytknęła chusteczkę do oczu.

Paweł trzymał stosik listów z bardzo smutną miną. Zważył je delikatnie na dłoni.

— Czy mogłaby pani wypożyczyć nam te listy na dzień lub dwa. Być może uważna ich lektura pozwoli na znalezienie jakiegoś wyjaśnienia tej niepotrzebnej śmierci.

— Nikt nie może być uważniejszym, czytelnikiem ode mnie. Ale dla spokoju sumienia proszę je wziąć. Myślę, że wrócą do mnie w idealnym stanie?

— Tak, proszę pani — powiedział Zawisniewski całując jej dłoń, którą wyciągnęła jak gdyby po namyśle. — Jeszcze jedno. Czy nie posiada pani zdjęcia, na którym byłby ten chłopak córki?

— Przysłała mi w liście zdjęcie, na którym są oboje. Schodzą razem z jakichś schodów. Roześmiani tacy. O proszę, to właśnie to zdjęcie — podała zdjęcie tym razem Pawłowi.

Zwykła odbitka formatu 13 x 18. Monumentalne schody przecięte na pół cieniem jakiegoś zabytku. O kilka stopni niżej, w całkowitym cieniu chłopak z długimi włosami, odwrócony profilem do fotografującego, podaje rękę stojącej dziewczynie. On prawie niewidoczny, gdyż przesłona aparatu została nastawiona na słoneczną część zdjęcia. Ona w rozwianej sukience przypominała motyla. Duże ciemne okulary nie pozwalały dostrzec jej oczu. Migawka aparatu zatrzymała jej uśmiech. Był taki, jakby miała do niego więcej powodów niż konwencjonalny grymas przed fotografem. Może była szczęśliwa.

Tego wieczora Paweł nie wychodził z domu. O siódmej dzwoniła Małgosia, aby go wyciągnąć na nową sztukę Arrabala. Wymówił się mnóstwem pracy. Siedział teraz w swoim miękkim, wykładanym wiśniową skórą fotelu, z którego koledzy wyśmiewali się mówiąc, że przypomina raczej fotel biskupa niż oficera milicji, i czytał listy, które pisała do matki w Paryżu Lidia Rygielska. Nadawana w czwartym programie VI symfonia Maniera klóciła się z chóralnym sto lat dobiegającym zza ściany.

Listy ułożone były chronologicznie. Czytał je z zainteresowaniem, miały przybliżyć mu postać kobiety wpłątanej w tak niezwykłą historię. Dla matki była nieśmiałym dzieckiem i wzorową uczennicą, dla swoich przełożonych świetnym pracownikiem, a przecież jeżeli nic obmyśliła, to w każdym razie przeprowadziła perfidną akcję dla zdobycia obiecanych przez kogoś pieniędzy.

Lektura listów w gruncie rzeczy rozczarowywała. Pisane były z dużą miłością do matki, ale jednocześnie z widocznym dystansem, nic pozwalającym przeniknąć w jej sprawy zawodowe i życie prywatne. Pisała o muzeach, obrazach w nich widzianych, ale nigdy nie wypowiadała na ich temat swojego zdania. Donosiła matce, że jadła kolacje ze znajomym, pisała, jakie wino podano do kolacji, ale nie wymieniała nazwiska tego znajomego. O spotkaniu swojego dawnego kolegi szkolnego Jacka Lewkowicza napisała dwa zdania. Nic wypływało to chyba z braku zaufania do matki, gdyż listy przepojone były miłością. Przyczyna musiała leżeć w jej charakterze. Ta roześmiana dziewczyna z fotografii była niezwykle skryta.

Zanim jednak Paweł przeczytał ostatni list, wstał, aby zrobić sobie kolację. Zawsze, kiedy coś szczególnego interesowało go, odkładał chwilę, w której musiał poświęcić lemu całą uwagę.

Zrobił sobie jajecznicę na boczku i zjadł ze starym chlebem, który znalazł w domu. Sto lat za ścianą zmieniło się na wrykiwaną przez co trzeźwiejszych sąsiadów *Una paloma bianca*.

Znowu czytał. Po normalnych słowach, jakimi zaczynała swoje listy, Lidia pisała: Mogę cię pocieszyć, mamo, że już niedługo będziesz mogła przyjechać do mnie i zobaczyć wszystkie swoje ulubione miejsca. Na pewno będzie to jesienią. Paryż jest wtedy najpiękniejszy. Dziwisz się, jak to będzie możliwe, kiedy do tej pory musiałyśmy żyć tak oszczędnie? Spodziewam się gratyfikacji, która pozwoli nam na małe szaleństwo, a także umożliwi Ci życie w Warszawie na poziomie, do którego bardziej się przyzwyczaiłaś. Myślę, że będziesz zadowolona ze swojej Lidki i wykształcenia, jakie jej dałaś. W następnym liście postaram się napisać więcej. Poinformuję Cię, w jaki sposób masz załatwić formalności związane z wyjazdem. Podziękuj stryjowi Michałowi za to, że pamiętał o moich urodzinach. Całuję Cię. Twoja Lidka.

Takie były ostatnie, pisane do matki, słowa Lidii Rygielskiej. Paweł przeczytał ten list jeszcze raz. Wiedział, że trzeba będzie sprawdzić, czy w grę mogły wchodzić jakiegokolwiek gratyfikacje służbowe. Jeżeli nie, to sprawa była właściwie jasna. Coś jednak nie pozwalało mu iść spać. Czuł własną bezradność wobec

ludzi, którzy stali za tym wszystkim, pociągając niewidzialne nici. Zginęła dziewczyna, której śmierć nigdy, być może, nie zostanie wyjaśniona. Rygielska zaczynała interesować Pawła już niejako ofiara własnej bezmyślności czy też sprytu. Przez chwilę zapomniał o swoim zawodzie. Myślał o ludzkiej naiwności i o tym, co skłoniło tę młodą, obiecującą dziewczynę do takiego postępowania. Czy wiedziała, ile ryzykuje przez nią nieświadomy do końca Kowalewski? Jakie były jej ostatnie godziny? Na pytania te być może nigdy nie dostanie odpowiedzi. Chyba że... Miał przecież ciągle nie wykorzystany urlop. Otrzymał przydział 130 dolarów na planowaną wraz z kolegami z Klubu Wysokogórskiego małą wyprawę w Alpy Berneńskie. Gotów był z niej zrezygnować, gdyby mógł znaleźć się w Paryżu. Rozmowy przeprowadzone na gorąco z ludźmi, którzy znali Rygielską, dałyby na pewno jaśniejszy obraz motywów jej decyzji. Postanowił na temat swojego urlopu, porozmawiać jutro z majorem. Nic przewidywał jednak zbytniego entuzjazmu z jego strony.

Rano było w komendzie sporo pracy. Prokurator przeglądał cały dotychczasowy materiał, łącznie z listami Rygielskiej. Zawisniewski układał pismo w sprawie Rene Pingola i Paweł ledwie zdążył mu się zwierzyć ze swoich urlopowych planów. Przed południem, kiedy usiłował wcisnąć w siebie bułkę popijając ją letnią herbatą, zadzwoniła sekretarka majora zawiadamiając, że ma się natychmiast stawić w gabinecie. Z ulgą odłożył bułkę, wypił duszkiem herbatę i poszedł zastanawiając się, czym wytłumaczyć to wyróżnienie.

Oprócz majora Biesagi w gabinecie siedział nie znany mu mężczyzna w jasnym tropikowym garniturze.

— Siadajcie, poruczniku. To jest major Baliński ze Służby Bezpieczeństwa.

Mężczyzna w jasnym garniturze uśmiechnął się uprzejmie.

— Zdaje się, poruczniku — powiedział Bicsaga z lekkim uśmiechem — że chcecie zmienić swoje plany urlopowe. Dziwię się bardzo, wy, taki zawołany taternik i alpinista, chcecie się nagle wspinać w czasie urlopu po schodach wielkomiejskich kamienic?

Paweł zdziwiony, że major wie już o jego decyzji, otworzył usta, żeby odpowiedzieć, lecz ten nie czekał na to:

— Podczas studiów historii sztuki byłeś już przez pewien czas w Paryżu?

— Tak. Dwa miesiące w ramach praktyki. Wymieniono nas wtedy z grupą studentów francuskich.

— I właśnie w tym mieście chciałbyś spędzić swój bez wątpienia zasłużony urlop? — major nie uśmiechał się już i patrzył przenikliwie na Pawła.

— Bardzo bym tego chciał, panie majorze — odpowiedział szybko. — To wspaniałe miasto.

— Miasto może i wspaniałe, ale historia nieładna. Możesz tam jechać najzupełniej prywatnie i bez żadnych specjalnych poleceń. Kapitan Zawisniewski wspomniał mi, że interesuje cię psychologiczna strona całej tej sprawy. To rzeczywiście ciekawe zagadnienie dla oficera milicji i zebrane tam doświadczenia mogą ci się jeszcze kiedyś przydać. Dlatego pozwolimy ci przyjrzeć się z bliska tej sprawie, powtarzam jednak, tylko się przyjrzeć. Na nic innego nie wyrażam zgody. Wszyscy pracownicy „Corexu” i tak zostaną sukcesywnie ściągnięci do Polski, Jeżeli chcesz jednak poznać ich opinię na gorąco, to nie wyrażam sprzeciwu. Nie wiadomo też, czy ktoś jeszcze nie jest w tę sprawę wplątany. Zadaniem milicji jest nie tylko walka z przetrwaniem dokonany, lecz także zapobieganie jego powstaniu. Obecny tu major Baliński otrzymał meldunki, które wspominają o obywatelu polskim mającym kontakty z jakąś organizacją przestępczą. Nie możemy ich jeszcze łączyć ze sprawą przemytu narkotyków. Być może towarzysz major zechce się z tobą podzielić dotychczasowymi ustaleniami. Jeżeli ktoś z „Corexu” jest w coś zamieszany, będzie ci łatwiej o

tym się dowiedzieć, gdyż działasz jako osoba prywatna. Kiedy poznasz motywy postępowania Rygielskiej lub stwierdzisz, że sprawa wkracza w obszar działania tamtejszej policji, wtedy zostaw wszystko. A najlepiej posiedź tam kilka dni, zacznij chodzić do Luwru czy gdziekolwiek. Możesz nawet jechać na Lazurowe Wybrzeże, jeżeli oczywiście starczy ci dewiz — major uśmiechnął się. — Pamiętaj jednak, aby pod żadnym pozorem nie mieszać się w sprawy miejscowych gangów. Jedziesz spędzić tam swój urlop, na co sam nic wiem dlaczego pozwalam, i nic więcej. Rozumiemy się?

Paweł przytaknął. Major, jakby mało było tych upomnień, dodał:

— Pamiętaj, żeby mi nic było żadnego śledztwa na własną rękę. Nie masz do tego żadnych uprawnień. Najważniejsze jest, abyś wszedł w środowisko. Będzie taka możliwość. Pojedziesz tam jako przyjaciel Tomasza Salskiego, który zostanie wysłany do paryskiego „Corexu” na miejsce chorego Kowalewskiego. Prokurator uznał dzisiaj, że Kowalewski został wplątany w całą tę historię mimo woli i trzeba go będzie wypuścić. Ale dyrektor Dworakowski na pewno pozwoli odpocząć dłużej swojemu pracownikowi i na razie na jego miejsce zostanie wysłany Salski. To młody, energiczny człowiek i świetny ekonomista, u jednocześnie mamy do niego zaufanie. Tylko on będzie wiedział o tobie i pozwoli ci jako staremu przyjacielowi odwiedzać się w pracy. Najlepiej jedźcie jednym pociągiem, wspólna podróż pozwoli wam się lepiej poznać. On ma załatwiony pensjonat i ręczę, że znajdzie się tam jeszcze jakiś pokój.

Pawłowi ciągle wydawało się, że śni albo pada ofiarą jakiegoś niesamowitego żartu. Miny patrzących na niego mężczyzn nie były jednak wesołe.

— Dostaniesz także numer telefonu mojego przyjaciela pracującego w podobnej do naszej branży...

Paweł przypomniał sobie, że jego przełożony w czasie wojny miał coś wspólnego z francuską Resistance.

— Pisałem do niego i na pewno pomoże ci we wszystkim, o co go poprosisz, o ile wiem, jest jednym z szefów paryskiej Surete i może bardzo dużo. Aha! Nie zatrzymuj się raczej w hotelu „Royal”. Jest drogi i niezbyt szczęśliwy dla Polaków — major nabierał humoru. — Zgłoś się pojutrze po paszport i radzę ci: spróbuj przypomnieć sobie trochę francuskiego. Przed wyjazdem przyjdź się pożegnać.

Rozmowa była skończona. Razem z Pawłem wyszedł major Baliński.

Tomasz Salski był wysokim blondynem. Jego niebieskie oczy patrzyły zawsze prosto na rozmówcę. Lekko zacinał się przy mówieniu, lecz wada ta dziwnie dodawała mu uroku. Połowę drogi przespał i dopiero wtedy zaczął odzywać się do Pawła, który męczył się zawsze w pociągach, nie mogąc zmrużyć oka. Wypili pół butelki wiezionej przez Salskiego żubrówki, chcąc łatwiej przetrwać nudną podróż.

Pociąg przyjechał na Gare du Nord z godzinnym opóźnieniem. Na dworcu pożegnali się. Salski poszedł prosto do „Corexu” przywitać się ze swoimi nowymi współpracownikami. Pomimo że mieli mieszkać w jednym pensjonacie, umówili się następnego dnia na spotkanie zaaranżowane w porze lunchu w taniej restauracyjce na Bulwarze Raspail, gdzie Salski miał ściągnąć towarzystwo z „Corcxu”.

Paweł wszedł do metra chcąc dostać się do pensjonatu na nie Moreau. Wsiadł na placu Bastylli i dalej szedł pieszo.

Paryż w sierpniu był dość wyludniony. Pensjonat, w którym miał zamieszkać, mieścił się w niedużej dwupiętrowej kamienicy. W obszernym ciemnym hallu stał maleńki kontuar, za którym siedział staruszek ze

znudzeniem oglądający pornograficzne pisemko. Miał zaczerwienione oczy i twarz, z którą nie zawsze w życiu dobrze się obchodzono.

— Na jak długo chce się pan tu zatrzymać? — spytał bez zbytnich wstępów mocno już okaleczoną polszczyzną.

— Przyjechałem tylko na tydzień, dwa.

— To pan nie z „Corexu”?

Nie. Jestem fotografikiem. Może znajdę natchnienie w tym mieście. — Ja także przyjechałem pięćdziesiąt lat temu szukać tu natchnienia. Grałem na fortepianie. Podobno dobrze. Dostanie pan, panie artysto, pokój 7. łazienką. Wyprowadził się z niego wczoraj student z Australii. Ma pan do sprzedania kawior albo polską wódkę? Dobrze płacę.

— Niestety, nic nie przywiozłem.

— Ach, ta dzisiejsza młodzież — staruszek skrzywił się z niesmakiem. — Pański pokój jest na drugim piętrze. Karłą pobytu może pan wypełnić później.

Paweł podziękował i w taszczył torbę na drugie piętro. Pokój był mały i skromnie umeblowany. Jedno wysokie a wąskie okno wychodziło na obskurne podwórze. Łazienkę, o której wspominał staruszek, stanowił umieszczony w kącie prysznic zasłonięty kotarą z folii.

Do umówionego spotkania z Salskim miał jeszcze sporo czasu. Od rana nic nie jadł. W starym przewodniku poszukał hotelu „Royal”. Mieścił się on na Bulwarze Richard Lenoir. Nie było to daleko. Bulwar był szeroki, z dużym pasem zieleni pośrodku. Hotel sprawiał dobre wrażenie. Paweł usiadł przy wystawionym na chodniku stoliku pobliskiej restauracji. Mógł stąd wygodnie obserwować podjazd i wejście do hotelu. Sam nic wiedział, po co to robi. Przed hotel zajechał właśnie olbrzymi czarny buick. Wysiadł z niego poważnie wyglądający facet, Jedynym nie pasującym do niego szczegółem garderoby był słomkowy kapelusik włożony figlarnie na tył głowy. Z hotelu wyskoczyło dwóch portierów. Jednemu grubo rzucił kluczyki, a drugi wyjął mu z ręki czarną walizeczkę.

— Czym mogę służyć? — Nic zauważył nawet, kiedy przy stoliku pojawił się kelner.

Zamówił porcję frytek i szklankę wina. Jadł wyszukując jednocześnie w słowniku interesujące go zwroty. Przed hotelem zatrzymał się autokar z grupą starych kobiet w fantazyjnych kapeluszach. Paweł zapłacił i wyszedł. Przy wyjściu zrobił się mały tłoczek. Obsługa zwijała się wnosząc ciężkie walizy. Chudy, przypominający karawaniarza recepcjonista rozmawia! właśnie unieźenie z facetem w- kapelusiku. PHWCI kazał się zawieźć windziarzowi na piąte piętro. Korytarz hotelowy był długi, wyłożony czerwonym dywanem, dokładnie wyciszającym wszystkie kroki. Paweł przeszedł wolno przez cały korytarz i doszedł do pokoju obsługi piętra. Zawahał się trochę, lecz w następnej chwili szybko bez pukania nacisnął klamkę. Rozebrana pokojówka wkładała akurat czerwony fartuch. Chciał się wycofać, lecz spojrzała na niego wyczekująco.

— Sorry — powiedział robiąc jednocześnie ramionami gest mający znamiona zakłopotania. Pokojówka kończyła zakładanie fartucha na zwolnionych obrotach. — Jestem prywatnym detektywem. Przyjechałem z Londynu. — Nigdy jeszcze Paweł nic wygadywał podobnych bzdur, na dodatek z angielskim akcentem. — Przysłał mnie do pani facet z dołu. Chodzi mi o dziewczynę, która wypadła z okna na tym piętrze. Ma mi pani coś powiedzieć na ten temat.

Przyjrzała mu się badawczo, lecz widocznie oglądała często telewizję i czytała komiksy, bo zrobiła rozanieloną minę i spytała;

— Pan ze Scotland Yardu?

— Pracuję prywatnie. Więc jak to było?

— Dlaczego przysłał pana do mnie? Przecież to nie było na mojej zmianie. Dyżurowała wtedy Françoise. Ja nic nie wiem.

— Ależ wie pani. co się mówiło o tym morderstwie między pracownikami hotelu.

— Dlaczego pan mówi „morderstwo”? Ona sama wyskoczyła z tego okna.

— Taka była wersja policji?

— Policja nigdy nikomu nic nie mówi. Ale w tym czasie nikt jej nie odwiedzał, a pokój był zamknięty od wewnątrz.

— Świetnie, ale wystarczyło mieć klucz dorobiony wcześniej, na przykład mógł to zrobić ktoś, kto mieszkał już w tym pokoju.

— Nie myślałam o tym — przyznała robiąc jeszcze bardziej rozanieloną minę. — Muszę o tym powiedzieć Françoise.

— Kiedy ona przyjdzie?

— Nieprędko- Jest na urlopie. Ja nawet nie wiem, gdzie ona mieszka. Ale powie to panu szef na dole. Z niego równy facet, chętnie pracuje z policją. On panu pomoże.

— Dziękuję za informację. Myślę, że się jeszcze zobaczymy. Jak pani na imię?

— Marie. Pracę kończę dopiero o dziesiątej wieczorem?— powiedziała szybko, uprzedzając następne pytanie.

Uśmiechała się wdzięcznie do tego sympatycznego cudzoziemca, który jednak w niczym nie przypominał detektywów z nadawanych wieczorem filmów.

Paweł nie zjeżdżał teraz windą, lecz wolno schodził po schodach. Zastanawiał się, co robić dalej. W recepcji nic było już teraz dużo ludzi. Wyczekał chwilę, kiedy najstarszy recepcjonista zaczął interesować się gazetą, i podszedł do niego. Gazeta błyskawicznie zniknęła pod kontuarem i recepcjonista wyprostowany patrzył na niego wyczekująco.

— Może mi pan poświęcić chwilę czasu? Recepcjonista przybrał bardzo swobodną pozę, szacując Pawła wzrokiem. Lustracja widać nie wypadła najgorzej, bo skinął głową na znak, że słucha.

— Jestem adwokatem rodziny tragicznie zmarłej w tym hotelu dziewczyny — widział, że tamtemu zaczyna drgać nerw koło oka. — Chodzi o sprawy spadkowe. Czy mógłby mi pan udzielić kilku informacji, a także podać adres pokojówki, która miała dyżur w czasie tego wypadku?

Tamten przełknął ślinę i patrząc prosto w twarz Pawła powiedział;

— Co do informacji i adresu, to nie mogę ich panu udzielić, bo pracuję tu od niedawna. Ale jeżeli bardzo panu zależy, to poproszę mojego zwierzchnika, a on być może wszystko panu opowie.

— Będę panu zobowiązany.

— Proszę zaczekać. Zaraz pošlę boya.



— Zaczekam w restauracji.

— Jak pan sobie życzy — powiedział bardzo grzecznie recepcjonista.

Paweł przeszedł przez salę i pchnął drzwi prowadzące do hotelowej restauracji. Zrobił kilka kroków w stronę stolika i spokojnie zawrócił. Przez szklaną taflę drzwi widział pochyloną postać recepcjonisty, który zasłaniając ręką usta mówił coś do słuchawki. Paweł uśmiechnął się.

Restauracja miała wejście także z ulicy. Po dziesięciu minutach spędzonych w małej trafice, oddalonej o dwa domy od hotelu, zauważył podjeżdżającego szybko pod hotel citroena DS. Dwaj barczyści faceci, którzy z niego wyszli i szybko weszli do hotelu, mogli mieć tylko jeden zawód.

W małej salce restauracji „Cochon de Lait” Paweł bez trudu dostrzegł siedzącego przy sześciuosobowym stoliku Salskiego i jego gości. Na jego widok Salski wstał i krzyknął na całą salę:

— Witaj, stary! Świetnie, że przyszedłeś. Pozwolą państwo, że im przedstawię przyjaciela z ławy szkolnej Pawła Werta. Nic mogliśmy się nigdy spotkać w Polsce i udało się to dopiero na tutejszym dworcu. Pawle, to moje nowe koleżanki i współpracownice: pani Obuchowicz i Szymańska.

Paweł cmoknął w rękę najpierw starszą panią o ciemnych włosach i inteligentnej twarzy, a później dwudziestokilkuletnią blondynkę.

— A to mój nowy szef, wiceprezydent spółki, w której pracuję, pan Pierre Falba.

Falba był potężnym facetem. Paweł miał mu ochotę podać pięść, aby nie narazić się na zgniecenie dłoni, ale ręka tego olbrzyma okazała się miękka jak duża napompowana poduszka.

— I wreszcie pan Janusz Konrad, także mój współpracownik.

Na Pawła spojrział, a później wyciągnął rękę. młody człowiek, którego przeznaczeniem musiało być najwidoczniej „bycie najlepszym”. Ten chroniczny przymus obdarzył Pawła bolesciwym spojrzeniem i spocym uściskiem dłoni.

— Jak ci mówiłem, mamy tutaj spotkanie zapoznawcze. Niestety, przyjemność przyćmiewa tragiczny wypadek, jaki zdarzył się naszej koleżance — powiedział swobodnie Salski.

Paweł nic wykazał żadnego zainteresowania tą historią, studiując dokładnie kartę podaną przez kelnera.

— Nie mówmy teraz o tym — wtrącił w świetnej polszczyźnie Falba. — Niech kolega lepiej opowie, co słyhać w Warszawie. Ja bardzo kocham to miasto. Warszawa pięknieje. A u nas wszystko "po staremu. Byliśmy zawałeni pracą. Koniec kwartału w przedsiębiorstwie — a jeszcze upały. Sam pan wie najlepiej, jak to jest.

— Czy pan na długo przyjechał do Paryża? — zwrócił się bezpośrednio do Pawła milczący do tej pory Konrad.

— Na tydzień lub dwa- Przygotowuje w Galerie Cloche wystawę fotograficzną prac moich kolegów i swoich.

— To pan jest artystą? — uśmiechnęła się młodsza z dwóch kobiet.

— I to wcale wziętym, żeby nic powiedzieć rozrywaniem — ubiegł Pawła w odpowiedzi Salski, uśmiechając się przy tym szatańsko.

— Z przykrością muszę przyznać, że nie słyszałem jeszcze o panu — rzucił z ponurą miną prymus.

— My handlowcy interesujemy się bardziej konkretnym towarem niż sztuką. Wybacz więc, mój drogi, naszą ignorancję — ratował sytuację Salski.

Konrad chciał jeszcze coś powiedzieć! Otworzył już nawet usta, lecz zamknął je widząc niezadowoloną minę Falby.

— A propos sztuki. Czy widzieliście już państwo ten nowy film Polańskiego? W Warszawie dużo się o nim mówi — spytał Salski chcąc zmienić lemat.

Wszyscy zrobili zdziwione miny. Paweł nie zorientował się w pierwszej chwili, o co chodzi.

— My tu, panie kolego, żyjemy oszczędnie i nie mamy czasu na takie głupstwa — powiedział niezadowolonym głosem Konrad.

— Tak, my, Polacy, jesteśmy oszczędnym narodem. Mój ojciec był górnikiem, a ja jestem współakcjonariuszem tej spółki. To wszystko przez oszczędność. Zależy też, na co się oszczędza — w głosie Falby można było wyczuć lekką ironię.

Pierwsze ożywienie zastąpiły teraz rozmowy prowadzone półgłosem. Pani Marta Obuchowska nachyliła się w stronę Konrada. Falba z zawodową dociekliwością męczył Salskiego o sprawy przedsiębiorstwa. Butelka czerwonego wina, którą zamówił Paweł, pokazywała już dno, a nikt nic miał ochoty zamówić następnej.

Paweł skupił całą swoją uwagę na przypodobaniu się Cli Szymańskiej, dziewczynie o wspaniałych oczach i odrobinę mniej wspaniałej reszcie. Wiedział, że jest w wieku Rygielskiej. Były koleżankami jeszcze w Warszawie. Znał na pamięć życiorysy wszystkich obecnych.

Na początku nic zwracał na nią specjalnej uwagi, choć traktował ją wyjątkowo uprzejmie. Pod koniec tego smutnego przyjęcia, w które nikł już nie chciał zainwestować, wystąpił z kilkoma komplementami pod jej adresem. Dziewczyna od razu wyładniała i zaczęła się nim coraz bardziej interesować. .

Pierwszy pożegnał się Falba wspominając coś o zazdrosnej żonie. Zbliżała się pora powrotu do domu i Paweł zaproponował odprowadzenie dziewczyny. Kątem oka zauważył wściekłą minę Konrada. Szymańska zgodziła się niespodziewanie łatwo. Wychodzili wszyscy razem żegnani uprzejmym ukłonem kelnera.

— No, stary, radzę ci uważać. Z tak piękną dziewczyną w Paryżu łatwo stracić głowę. A julro nic zapomnij odwiedzić mnie w pracy. Wpadniemy gdzieś razem na obiad. — Salski pomachał im jeszcze ręką.

Ela Szymańska była osobką, wbrew swojemu niewinnemu wyglądowi, śmiałą i zdecydowaną. Podobał jej się len przystojny, lekko roztargniony chłopak. Była zadowolona, bo miała okazję ulrzeć nosa temu nudziarzowi Konrowi, który ledwo przyjechał, a już wyobrażał sobie, że tylko na niego czekała.

— Mieszkam tu niedaleko, lecz jeżeli pan chce, to pojedziemy metrem.

— Jeśli to nic sprawi różnicy, to wolałbym się przejść. Po prostu będziemy dłużej razem — Paweł postanowił działać śmieiej.

— Jest pan miły, czy jednak szczerzy? Wszyscy artyści lubią przesadzać.

— Miała więc już pani do czynienia z artystami?

— Niestety, z wieloma. Na studiach chodziłam z początkującym rzeźbiarzem. Był wielkim fantastą, ale w sumie bardzo miłym chłopakiem. Nawet się w nim podkochiwałam.

— I co się stało z tym nieszczęśnikiem?

— Znudziłyśmy się sobie. Zaczął dużo pić i zerwałam z nim. Czy pan dużo pije?

— Czy ten chłopak to nie Jacek Lewkowicz?

— Czyżby go pan znał? To niesłychane — była autentycznie zdumiona.

— Warszawa nie jest największym miastem świata. A on jest w środowisku postacią dość znaną. Wiacie się mówiło o jego wyjeździe do Paryża.

— Właśnie. Przyjechał tutaj i dowiedziałam się, że interesuje się moją najlepszą koleżanką.

— I co, przestała być pani najlepszą koleżanką? — zażartował Paweł.

— Ależ skąd! — krzyknęła prawic i natychmiast zamilkła. — W pewnym sensie przesiała nią być — powiedziała w końcu. — Ona nie żyje.

— Jakiś wypadek? — spytał uprzejmie Paweł. Szymańska milczała. Przechodzili obok oświetlonych wystaw z manekinami ustawionymi w dziwacznych pozach. Po dłuższej chwili odezwała się wreszcie, biorąc jednocześnie Pawła pod rękę.

— To straszna sprawa. Powiem panu o niej. Takie dziwne krążą plotki.

— To bardzo ciekawe.

— Chciałam wreszcie to komuś opowiedzieć. Najlepiej zacznę od początku. Lidka Rygielska, bo tak nazywała się moja koleżanka, studiowała ze mną jeszcze na uniwersytecie. Później nasze drogi się rozeszły. Pracowałam w PHZ-ecie. Niektórzy mówili mi, że jestem zdolna, inni, że tylko pracowita. Skończyłam półroczny kurs dla przyszłych pracowników spółek. Pół roku temu zaproponowano mi pracę w „Coreksie”. Podobno nasz dyrektor polecił mi stronic francuskiej. Przyjechałam tutaj. Było to dla mnie dużym wyróżnieniem, tym bardziej że w ogóle niespodziewanym...

Paweł z uwagą słucha! każdego jej słowa.

— Jakie było moje zdumienie — kontynuowała Szymańska — kiedy po przyjeździe przywitała mnie właśnie? Lidka pracująca tutaj, jak się później dowiedziałam, od samego założenia spółki.

Paweł także okazał zdziwienie podnosząc jedną brew.

— Bardzo mi wtedy pomogła w rozeznaniu tutejszego rynku. Cieszyłam się, że ona tutaj jest. Później zaczął się nią interesować właśnie Lewkowicz, który zjawiał się kiedyś w naszym biurze nie wiadomo skąd. Zaczęli ze sobą chodzić. Do dzisiaj mam wyrzuty sumienia, że nie byłam z tego zbyt zadowolona i może dałam jej to odczuć. Taka głupia babska zawiść. Przecież on już naprawdę mnie nic interesował. Ale ciągle trzymałyśmy się razem. I tydzień temu została zamordowana. — Szymańska zrobiła pauzę, patrząc, jaki efekt wywołały jej słowa.

Paweł ze zdumieniem uniósł drugą brew.

— To było straszne. Rozmawiałam z nią kilka godzin przed śmiercią. Policja przesłuchiwała nas wszystkich. Nie mogłam spać trzy noce. Dlaczego to się stało?

— W jaki sposób ją zamordowano?

— Została wyrzucona oknem hotelu „Royal”.

— Mieszkała tam?

— Nie, miała pokój w moim pensjonacie. Była zameldowana w tym hotelu na jedną dobę.

— Może to było samobójstwo?

— Ależ skąd! Sugerowała to policja. Ale ja ją za dobrze znałam, żeby w to uwierzyć. Była pełna humoru. Zawsze z jakimiś nierealnymi planami.

W sprawach zawodowych bardzo konkretna. Samobójstwo według mnie mógł popełnić każdy, tylko nie ona.

— A jakie były te jej ostatnie nierealne plany?— spytał Paweł obojętnym tonem, jakby chodziło mu tylko o podtrzymanie rozmowy, czekając jednocześnie w napięciu na odpowiedź, która mogła dać mu narzeczcie jakiś okruszek prawdy.

— Ostatnio? — Szymańska zastanowiła się. — Ostatnio chodziły jej po głowie jakieś większe pieniądze. To było dla mnie dziwne, bo przedtem nie-sprawiała wrażenia materialistki. Żyjemy tutaj w miarę skromnie, żeby jak najwięcej zaoszczędzić na przyjazd do Polski. Zauważył pan chyba, jak wszyscy spieszyli się na pytanie o film Polańskiego. Kina tutaj są drogie. Nasi panowie pójdą najwyżej raz w miesiącu na jakieś porno i to wszystko. A Lidka mówiła, że ma na oku sporą prowizję czy gratyfikację, że wszyscy będziemy zadowoleni i różne takie. Kiedy ją pytałam o jakieś konkrety, mówiła, że jeszcze na to za wcześnie. Miała zamiar zaprosić tu matkę. Później okazało się, że żaden z naszych przełożonych nic nie wie o tej prowizji.

— Może ta prowizja to po prostu dobra partia, wyjście za mąż?

— I ja tak początkowo myślałam. Była jednak związana z Jackiem. Zwierzyła mi się też, że kilkakrotnie spotkała się z naszym kolegą z „Corexu”, Kowalewskim. Prosiła jednak, żeby nikomu o tym nie mówić. On jest zresztą żonaty, a nawet gdyby nie był, to nie jest przecież taką dobrą partią. Zaprowadził ją, czy ona jego, do knajpki, gdzie zbierają się różni młodzi ludzie. Może tam poznała kogoś? Ale chyba nie, pokazała mi kiedyś przypadkowo na ulicy tych typków. Jeden z nich to nawet Polak z pochodzenia. Wyglądali na zamożnych, ale nie na amatorów związków małżeńskich.

— Ta ich knajpka to jakiś drogi lokal?

— Nie. Lidka dokładnie mi ją opisała. Tam wszyscy się znają. Nazywa się „Chez Gaston”, jest to gdzieś w okolicy Porte Clignancourt, niedaleko „pchlęgo targu”. Wie pan, gdzie to jest?

—Mniej więcej. A co na to wszystko Jacek Lewkowicz?

— On nic o tym nie wiedział. Bardzo przejął się jej śmiercią. Przestał przychodzić do „Corexu” i zupełnie nie wiem, co się z nim stało. O, tu właśnie mieszkam.

Zatrzymali się przy dużej kamienicy. Na dole kolorowy neon uporczywym miganiem reklamował materiały fotograficzne firmy Kodak.

— Nic mogę pana zaprosić na herbatę, gdyż moja konsjerżka bardzo lubi plotkować o swoich lokatorach, a jest dość późno.

— Będę jutro u Tomka w „Coreksie” i proszę mi wierzyć, bardzo chciałbym tam panią spotkać.

— Myślę, że nic będzie to tak trudne. Często tam jestem — uśmiechnęła się na pożegnanie i wbiegła szybko na schody.

Tego ranka cały Paryż wydawał się być w kolorze umbry. Brązowe były domy i ulice. Nawet pomnik Joanny d'Arc niedaleko kościoła Saint--Roche sprawia! wrażenie, jak gdyby spiż, z którego został odlany, w ciągu jednej nocy pokrył się rdzą. Idący w stronę Pont des Arts Paweł nic nie wiedział, czy zjawisko to wywołane jest brązową chmurą zasłaniającą słońce, czy też nie przespaną nocą. Zasnął nad ranem i obudził się tylko dzięki budzikowi, który towarzyszył mu wszędzie.

Jeszcze z pensjonatu zadzwonił do człowieka, którego wskazał mu major Biesaga. Po usłużnych głosach, jakie odezwały się, kiedy wykręcił numer, zorientował się, że monsieur Lefevre z którym miał się spotkać za kwadrans, nie był tuzinkową osobistością w świecie paryskiej policji. Teraz, kiedy szedł wolno wzdłuż Sekwany w stronę Quai des Orfevres patrząc na płynące rzeką barki, wydawało mu się, że za chwilę wyłoni się zza któregoś rogu komisarz Maigret z nieodłączną fajką w zębach.

Skrzydło Pałacu Sprawiedliwości przy Quai des Orlevres nr 30 mieściło sied7ib; policji kryminalnej. Stojący na warcie policjant wylegitymował go i wpuścił do środka. Nazwisko, które wymieniał, pozwoliło mu szybko znaleźć drogę w rym olbrzymim gmachu. Wspiął się po schodach coraz wyżej. Surowe, lecz eleganckie pierwsze piętra stawały się już tylko surowe w miarę pokonywania stopni. Na piąte piętro, które było właściwie adaptowanym poddaszem, prowadziły schody drewniane. Tu mieści! się słynny wydział specjalny do walki z przestępczością. Kiedy tam dotarł, natychmiast przystąpił do niego dwumetrowy prawie facet i szeptem zapytał, czego sobie życzy. Na dźwięk nazwiska Lefevre uśmiechnął się grzecznie. trzy razy powtórzył .nazwisko Pawła i prosił czekać. Za chwilę wrócił i przez potężne drzwi wprowadził Pawła do gabinetu szefa.

Na powitanie wstał zza biurka mężczyzna w niczym nie przypominający policjanta na takim stanowisku. Był łysawy, gruby, z przylepionym poczciwym uśmiechem przypominał bardziej sklepikarza z Deauville niż szefa tego wydziału. Jego gabinet umeblowany był bardzo skromnie. Na ścianie wisiało zdjęcie Giscarda d'Estaing i wielka mapa okręgu paryskiego. Na podłodze przy biurku leżał stos broszur w czarnych ceratowych okładkach.

— Miło mi powitać wysłannika monsieur Biesaga! — nazwisko majora wymówił wyjątkowo dokładnie. — Dwa dni temu rozmawiałem z nim telefonicznie. Sprawdziliśmy tego René Pingota, który na tak krótko odwiedził Polskę. Rzeczywiście był on już kiedyś zamieszany w przemyt narkotyków. Teraz jednak nie mieliśmy do niego specjalnych pretensji, zresztą to tylko drobna płotka. Proszę mi jednak powiedzieć, czym mogę panu służyć. Postaram się zrobić wszystko, co W mojej mocy.

— Chciałem się od pana, słynnego fachowca, dowiedzieć, co pan sądzi o tej aferze z narkotykami. Tak wielkie ilości znalazły się w Polsce po raz pierwszy.

— To rzeczywiście bardzo dziwne. Dotychczasowe kierunki rozprowadzania towaru to Stany, Londyn, Amsterdam czy ostatnio Skandynawia, którą do tej pory zaopatrywał Hong-Kong. Nigdy nic było hurtu na kraje socjalizmu, bo i po co? Was ta plaga nie dotyczy.

— Nie sądzi pan, że Warszawa mogła być tylko etapem i przesyłka miała później powędrować dalej? Celnicy, na przykład szwedzcy, są bardzo uczuleni na narkotyki, lecz nie będą o ich przemyt podejrzewać kogoś, kto przybywa z Polski.

Lefevre zastanowił się chwilę.

— Rozumuje pan prawidłowa. Od tego samego zaczęliśmy, kiedy nadszedł od was meldunek. Jednakże nasi ludzie i konfidenti, którzy z nimi współpracują, jeszcze nic o tym nie wiedzą. Uśc może sprawa była przygotowywana w wyjątkowej tajemnicy. Chodziło przecież o sumę niebagatelną. To był wielki sukces. Macie naprawdę zdolnych ludzi.

Paweł skinął głową wyrażając podziękowanie w imieniu starszego kontrolera Józefa Marciniaka i jego kolegów.

— Muszę panu powiedzieć — mówił dalej Lefevre — że w tej chwili inwigilujemy dwie duże grupy przemytnicze. Dostaliśmy informacje od konfidentów, z którymi zresztą nic mamy osobistego kontaktu, meldunki ich dostarczają nam okręgowe komisariaty, że otrzymano dużą przesyłkę z Turcji, która ma być następnie przekazana kupcom w innych krajach. Moi ludzie, których nie mam znowu tak dużo, śledzą ich dzień i noc. Obrazowo mówiąc nie mogą się nawet wysikać bez naszej wiedzy. Przed knajpą, w której się zbierają niektórzy z nich, zostawiliśmy opuszczony samochód do przewozu warzyw, w wyjątkowo złym stanie. Okręgowa policja nie znajduje już nawet na nim miejsca, gdzie mogłaby wetknąć swoje mandaty. W środku jest dwóch naszych ludzi. Obserwują knajpę porozumiewając się z nami za pomocą krótkofalówek. Pracownicy naszego wydziału przebijają się za inkasentów i clochardów. Pewnego razu obok głównej kwatery gangsterów otworzyliśmy w wolnym lokalu warsztat samochodowy. Doszło do tego, że ich ludzie zaczęli u nas przygotowywać samochody do większej akcji.

Paweł zauważył, że komisarz zaczyna z nim mówić jak z dziennikarzem z zaprzyjaźnionej popołudniówki.

— Mamy bardzo duży wskaźnik wykrywalności i panujemy w zasadzie nad sytuacją. Będę jednak szczerzy. Ten numer z przesyłką do Warszawy wykonali absolutnie poza naszymi plecami. Organizacja, którą o to podejrzewamy, jest jeszcze poza naszym zasięgiem. Jej szef siedział w swoim życiu tylko kilka lat, a powinien nic wychodzić z więzienia. Oni też wiedzą, że nic mamy do nich dojścia, i być może, ośmieleni tym, zrobią jakiś nieopatrzny krok. Pozostaje na razie tylko czekać.

— Czy słyszał pan o zamordowaniu osoby silnie związanej, jak sądzimy, ze sprawą tego przemytu do Polski?

— Tak, śledztwo w tej sprawie prowadzi wydział kryminalny. Ale w związku z sugestiami pana Biesagi, który nam w wielu sprawach pomógł, a mnie osobiście w czasie wojny, mamy specjalne baczenie na wszystko, co robią. Na przykład wczoraj otrzymaliśmy meldunek, że jakiś cudzoziemiec wypytywał się o tę sprawę w hotelu „Royal” Czy to był pan?

Lefevre uśmiechnął się jeszcze bardziej poczciwie.

— Tak, to ja. Macie jednak wspaniałych informatorów. — Paweł wiedział, że nie ma sensu zaprzeczać.

— To było niepotrzebne. Zaręczam panu, że chłopcy robią wszystko, żeby wykryć sprawców.

A wszelkich informacji dodatkowych z chęcią mu udzielię.

— A wersja samobójstwa?

— Była specjalnie rozpuszczona dla uśpienia czujności morderców.

— Morderców?

— W zeznaniach powtarzały się relacje o dwóch mężczyznach towarzyszących dziewczynie, gdy załatwiała formalności w recepcji. Poszli później na górę razem. Widocznie wtedy wzięli odcisk klucza, aby następnie wrócić niespostrzeżenie. — Mówiąc to Lefevre przestał się nagle uśmiechać. Mogło to być docenianie wagi tego śledztwa, lecz także nagły ból zęba. — Zrobimy wszystko, żeby podobny ładunek nie wyładował już nigdy na waszym lotnisku. Czy długo zamierza pan pozostać w naszym mieście? Pytam, gdyż może mógłbym polecić panu jakieś szczególnie przyjemne miejsce.

— Będę tu jeszcze najwyżej tydzień. Mam niedługi urlop, a chciałbym jeszcze zobaczyć inne kraje.

— Więc pan tu nie jest służbowo — udał zdziwienie komisarz i wstał dając do zrozumienia, że za chwilę będzie zajęty. — W wypadku jakichkolwiek wątpliwości proszę zwrócić się do mnie, a spotka się pan z całą moją życzliwością. Ale sądzę, że nic będzie takiej potrzeby, gdyż wszystko idzie tu jak najlepiej. Robimy dużo, naprawdę dużo! — podkreślił z naciskiem. — O, mam tu coś dla specjalnych gości — sięgnął ręką i podał Pawłowi jedną ze stosu broszur. — Jest to egzemplarz mojej pracy doktorskiej „Komisarz policji wrogiem świata przestępczego”. Zna pan nasz język znakomicie, więc może to być z wielu względów interesujące — wyciągnął w stronę Pawia broszurę, a następnie rękę na pożegnanie. — Proszę w Warszawie pozdrowić majora Biesagę, zresztą powiadomię go o wszystkim osobnym listem. — Uścisk dłoni miał silniejszy niż przy powitaniu,

Paweł zrobił dwa kroki w kierunku drzwi i odwrócił się. Lefevre szukał już czegoś w szufladzie.

— Jeszcze jedno. Czy poleciłby mi pan, komisarzu, lokalik o nazwie „Chez Gaston”? Jest to chyba w XIX okręgu.

Lefevre zamknął szybko szufladę. Na jego twarzy pojawił się wyraz lekkiego zakłopotania.

— Nie tylko bym go panu nie polecił, lecz przeciwnie, radziłbym trzymać się od niego z daleka. Tamten okręg nawet dla policjantów bywa pełen niespodzianek. Nasz wydział jest tam oczywiście obecny, ale (o speluna, ażył przestępców i nic mamy wcale łatwego zadania. Ale szczerze za szczerze, niech mi pan powie, dlaczego ta knajpa interesuje pana.

— Po prostu opowiedziano mi o niej niedawno. Ale przyrzekam, że gdybym się przypadkowo dowiedział czegoś więcej, to natychmiast zadzwonię do pana.

— Radziłbym się hic interesować tymi stronami. Nie chcielibyśmy mieć nowych kłopotów. Ale znam dobrze młodych ludzi, mam syna w pana wieku. Jeżeli więc uparł się pan, żeby tam iść, oto mój numer bezpośredni. Gdyby coś, proszę dzwonić.

Paweł wyszedł na rozgrzaną ulicę. Miasto miało już swój normalny wygląd. Chmury gdzieś pozniwały i znowu zaczął się trudny do wytrzymania upał.

Polsko-francuska spółka handlowa „Corex” miała swoją siedzibę przy rue Violet i Paweł musiał prześiadać się dwa razy, zanim metro wyrzuciło go w tamtej dzielnicy. Partery domów tej ładnej ulicy zajęte były przez drobne biura i kantory. Metalowy szyld ozdobną antykwą informował, że „Corex” mieści się na pierwszym piętrze. Czyste schody prowadziły wprost pod drzwi tej placówki handlowej. Z daleka słychać było niski głos Salskiego rozmawiającego z kimś przez telefon. Biuro składało się z trzech niedużych pokoi, umeblowanych z tanią elegancją. Szymańska siedziała przy biurku przepisując na maszynie jakieś sprawozdanie. Konrad wyglądał przez okno, a Salski kończył rozmowę telefoniczną. Wszyscy oprócz Konrada przywitali się z nim z nie ukrywaną sympatią.

— Poczekaj chwilę, już kończę — powiedział Salski zakrywając ręką słuchawkę.

— Napije się pan kawy? — Szymańska odłożyła maszynopis. — Podobno robimy tu wyjątkowo dobrą.

— Dziękuję. Z przyjemnością.

— Panie Januszu, niech pan łaskawie przetrze te filiżanki, a ja zaparzę kawę. — Szymańska objęła komendę.

Konrad bez entuzjazmu posłuchał. Salski skończył rozmowę.

— Przykro mi, Pawle, ale nici będą z naszej wspólnej kolacji. Musiałem na wieczór umówić się z klientem, który jutro już odlatuje do Holandii. Mamy jeszcze szansę na podpisanie dobrego kontraktu — dodał, widząc zadowoloną minę Szymańskiej. — Zresztą masz tu już przyjaciół, którzy na pewno będą ci towarzyszyć. Prawda, kolego? — zwrócił się niespodziewanie do Konrada, któryomalże nie wypuścił z rąk filiżanki.

— Oczywiście — potwierdził niewyraźnie.

— A co pani na to, pani Elu?

— Pan Wert jest bardzo sympatyczny i z chęcią pokażę mu Paryż.

— Oby tylko nie nocny, bo robię się zazdrosny

— żartował Salski.

Pili kawę gawędząc o różnych sprawach. Wróciła z miasta pani Obuchowicz narzekając na paryskie korki.

— A więc co pani proponuje? — spytał Paweł patrząc na Szymańską. — Jakie atrakcje mogą mnie tu czekać?

— Sama nie wiem, co wymyślić. Pan zdaje się już był w Paryżu? Paweł potwierdził skinieniem głowy.

— Do którego miejsca chciałby pan dzisiaj wrócić?

— Nie chciałbym nigdzie wracać. Po prostu może zobaczymy ten słynny pchli targ, a potem wstąpimy do którejś pobliskiej restauracji. Wiele tam podobno uroczych knajpek.

Nikt nie zdziwił się tą propozycją, tylko Szymańska poczerwieniała.

— Oczywiście możemy tam iść — powiedziała jednak bez zastanowienia, — To wspaniale. Może uda nam się kupić jakiegoś oryginalnego Celnika Rousseau. Podobno zdarzały się tam takie przypadki.

— Tylko nic spodziewajcie się za wiele i uważajcie na kieszenie — radził wesoło Salski.

— Na mnie nie liczcie. Muszę dzisiaj zrobić małe pranie. W moim pokoju mają podobno dzisiaj puścić ciepłą wodę — powiedziała smutno pani Obuchowska.

—? Ja także nie mogę iść. Mam dzisiaj randkę

— mówiąc to Konrad patrzył na Szymańską chcąc zobaczyć, jakie to wywrze na niej wrażenie.



— Wygląda na to, że przyjdzie nam iść we dwoje — powiedziała Szymańska nie zwracając uwagi na Konrada.

— Pośpieszmy się więc, to więcej zobaczymy.

— Kiedy wrócisz, wpadnij do mojego pokoju, to pogadamy. Chyba żeby to miało być nad ranem — Salskiego nie opuszczał dobry humor, a Konrad zaczął sinieć na twarzy.

Wyszli we dwoje. Trzeba się było dostać w okolice Porte Clignancourt. Tam właśnie przez trzy dni w tygodniu odbywał się słynny pchli targ.

Wsiadli w metro zmierzające w kierunku północnymi. Nic było jeszcze godzin szczytu i znaleźli nawet miejsca siedzące.

— Dlaczego dręczy pani tego swojego kolegę. Przecież on wygląda na zakochanego w pani.

— Co z tego, jeśli sam jego widok mnie irytuje. Jest jakiś śliski.

— Chyba za ostro go pani sądzi. Wydaje się świetnym materiałem na męża. — zażartował Paweł.

— Sądzi pan? — potraktowała rzecz poważnie, lecz po chwili dodała: — Niech panu się nie zdaje, że zależy mi na szybkim zamążpójściu. Jestem niezależna i dobrze mi z tym.

Wysiedli na ostatnim przystanku metra przy bulwarze Ornano. Prawie natychmiast po wyjściu ze stacji znaleźli się na targowisku przypominającym dawne warszawskie ciuchy na Skaryszewskiej, tylko dwudziestokrotnie większym. Przechodzili wolno między straganami pełnymi różnej tandety. Było tu wszystko. Taniutkie sweterki i guma do żucia. Fałszywe antyki i orderzy III Republiki. Klucze pasujące do wszystkich drzwi i breloczki z całego świata. Duże skrzynie z przedmiotami, w których można przebierać przez cały dzień. Stragany obwieszane były tysiącami kurtek ze skóry i skaju. Dżinsami można by otoczyć równik. Wszystko było do kupienia o połowę taniej, jeśli tylko starczy energii i czasu na targowanie się. Elżbieta Szymańska zatrzymywała się co jakiś czas przed straganami pełnymi spódnic, kamizelek i kurtek. Paweł delikatnie, lecz stanowczo sterował jej łokciem nie dopuszczając do zbyt długich postojów. Przeciskali się przez tłum, w którym oprócz sprzedających i kupujących kręcili się rozmaici sztukmistrze prezentując połknięcie żyletek, taniec z węzami czy grę w trzy karty. Paweł zorientował się, że mogliby w ten sposób chodzić bez końca, ten gigantyczny plac liczył kilka kilometrów.

— Co pani sądzi o odpoczynku u pocziwego Gastona? To już chyba gdzieś niedaleko?

Szymańska z obłędem w oczach wyszukująca nowe modele sukienek spojrzała na niego ze zdziwieniem.

— Jakiego Gastona? Ach, racja. Oczywiście możemy tam iść.

Teraz ona sterowała w tłumie w stronę rue de Panama. Była to mała uliczka zapchana samochodami, znajdująca się w bliskim sąsiedztwie słynnej Goutte d'Or, ulicy, na którą nawet Niemcy-w czasie okupacji odważali się wjeżdżać tylko samochodami. Właśnie z tą dzielnicą miała wieczne kłopoty paryska policja. Przeszli z pięćdziesiąt metrów, kiedy Paweł dostrzegł żółty szyld z wielkimi niebieskimi literami „Chez Gaston”.

Weszli do środka. Właściciel musiał być kiedyś bokserem, gdyż ściany obwieszane były zdjęciami i dyplomami z walk bokserskich. Gaslon, jeżeli jeszcze żył, nie był młodymi człowiekiem, postacie na zdję-

ciach pozowały w dziwnych strojach bez rękawic, najdziwniejsze było to, że walcząc przed obiektywem, miały wąsy idealnie równo zakręcone do góry.

Przy barze siedzieli dwaj mężczyźni spoglądając na umieszczony z tyłu telewizor. Na ekranie szamotały się postacie w filmie rysunkowym, faceci śmiali się z tego bezgłośnie, widać było tylko ich trzęsące się miarowo plecy. Za cynkowym kontuarem stał wycierając szklanę czarniawy barman o wyglądzie wygłodzonego szczura. Zajęte były tylko cztery stoliki. Usiedli i natychmiast podszedł kelner. Paweł zamówił butelkę taniego wina i dwie porcje frytek.

— Posiedzimy tu trochę, może jeszcze przyjdą ci, których wskazała pani na ulicy Rygielska.

Szymańska aż się wzdrygnęła.

— Po co to panu? To nie są chyba ludzie warci tego, by ich poznać. Wolałabym już iść. Nawet nie mogę tego jeść.

— Pani Elżbieto, bardzo proszę o pomoc — musiała wyczuć w głosie Pawła jakąś nutę, poważniejszą nutę. — To naprawdę bardzo dla mnie ważne. Później wszystko wyjaśnię. Musimy tu jeszcze trochę poczekać i proszę się niczemu nic dziwić.

Elżbieta nie miała zbyt wyraźnej miny, ale spojrzenie Pawła zadecydowało. Może zresztą zaczęła się czegoś domyślać. Skinęła głową na znak zgody. Milczeli teraz. Ludzie przy barze zmieniali się. Przychodzili tu przeważnie robotnicy wypijający na stojąco szklanę piwa. Wpadali też handlarze z pchlego targu szybko przy stolikach załatwiając swoje interesy. Ale w miarę upływu czasu klientela stawała się coraz bardziej elegancka. Przyszło wielu młodych ludzi zachowujących się pewnie i hałaśliwie, a także kilku facetów o wyglądzie byłych bokserów, którym tylko nadmierny pociąg do alkoholu nie pozwolił zostać championami. Na sali oprócz Elżbiety nie widać było innej kobiety. Wszyscy z ciekawością patrzyli na parę siedzącą przy oknie. Byli tu nowi, a wieczorem to miejsce zajmowali wypróbowani goście. Dawał to do zrozumienia kelner dotychczas nie interesujący się nimi, a teraz już dwukrotnie wycierający im stolik z miną zbitego psa.

Paweł wziął ręce Elżbiety w swoje dłonie. W pierwszej chwili nie wiedziała, jak zareagować.

— Najlepiej tutaj udawać zakochanych — powiedział cicho.

Elżbieta coraz bardziej zastanawiała się, kim jest ten chłopak. Patrzyli sobie jednak w oczy, tręcali kieliszkami i uśmiechali niemo.

W telewizorze zaczęto wyświetlać film z Glorią Swanson, kiedy do restauracji weszło trzech mężczyzn. Wszystkie rozmowy nagle przycichły. Rozglądali się chwilę i jeden z nich wskazał głową stolik w pobliżu Pawia. Zajmował go jeden z handlarzy, który zasiedział się dłużej czytając komiks w kolorowych okładkach. Kiedy tamci bez pytania usiedli przy jego stoliku, spojrzął znad gazety raz i drugi, pośpiesznie wstał, skłonił się i wyszedł płacąc przy barze. Najdziwniejsze było to, że mężczyźni ci nic wyglądali wcale groźnie. Tylko jeden z nich sprawiał wrażenie silnego. Swoje olbrzymie dłonie, wyglądające z rękawów zbyt krótkiej marynarki, położył nieruchomo na stoliku i patrzył przed siebie. Ale i on na sali pełnej eksbokserów nie robił wielkiego wrażenia. Pozostali dwaj byli młodzi, a jeden z nich o pięknej twarzy i odrobinię za szerokich biodrach, miał w sobie coś chyba kobiecego.

Kelner podbiegł i bez pytania postawił na stole butelkę Bourbona, » przed delikatnism sok pomarańczowy.

— Ten ładny to właśnie ten, który zna trochę polski. Jego matka była podobno Polką. Tak właśnie mówiła Lidka — szepnęła Elżbieta ściskając Pawła mocniej za rękę.

Z pomieszczeń prywatnych wyszedł prawdopodobnie właściciel. Nic był to jednak widoczny na zdjęciach Gaston, ale być może któryś z jego potomków. Miał dopiero około czterdziestki i to, że kiedyś boksował, można było poznać po sprężystym, lekko kołyszącym się kroku. Przywitał się kordialnie z przybyszami, ale w tej poufałości nie przekraczał pewnej granicy. Siedzieli w czwórce rozmawiając cicho. Co jakiś czas właściciel kiwał na kogoś z siedzących przy innych stolikach, ten wstawał, przysiadał się do nich na chwilę i odchodził, aby zrobić miejsce drugiemu. Trwało to około pół godziny. Wreszcie przestali chyba mówić o interesach. Kelner przyniósł jeszcze kilka butelek i atmosfera w lokalu stała się lżejsza, rozmowy przy stonkach były głośniejsze.

Jednocześnie delikatniś zaczął się ostentacyjnie przyglądać Pawłowi i Elżbiecie. Robi! to wyjątkowo natarczywie. Za jego spojrzeniem poszli także inni. Paweł zauważył to kątem oka i nalewając wino do kielichów wrócił głowę w przeciwną stronę i szepnął do Elżbiety:

— Uważaj. — Po raz pierwszy powiedział jej „ty”. Teraz już jego głowa i usta były widoczne dla obserwujących. Zaczął do niej mówić szeptem po polsku, starając się bardzo wyraźnie wymawiać słowa. — Rozmawiamy chyba po raz ostatni. Jeżeli wkrótce nie zdobędę jakichś pieniędzy, to nie wiem, co zrobię. Wiesz, ile jestem winien w kraju. Myślałem, że tu coś zarobię, ale to przeklęte bezrobocie. Może pojedę do Kanady albo palnę sobie w łeb — jego szept zaczął mieć w sobie coś histerycznego.

Elżbieta przez ułamek sekundy była zdumiona, ale już po chwili zaczęła głaskać go po dłoni, jak gdyby chcąc go w tej chwili pocieszyć.

— Ty możesz tu pracować za grosze, ale mnie się to wcale nie uśmiecha. Wyobrażam już sobie minę moich wierzycieli, kiedy wrócę bez forsy. A ja głupi myślałem, że tu pieniądze leżą na ulicy. — Paweł wiedział już, że każde jego słowo jest rejestrowane przez delikatnisia, który znieruchomiał chcąc wychwycić z szumu rozmów ten mówiący znajomym językiem szept. Elżbieta opuściła głowę.

— Nic becz. Wiesz, że tego nie lubię. Doprowadź się do porządku. Jak ty wyglądasz.

Elżbieta wstała i z chusteczką przy oczach przeszła przez salę. Wszyscy gapili się na nią, śledząc każdy jej krok. Delikatniś szeptał coś do swoich kolegów. Paweł z ponurą miną miętosił papierową serwetkę. Elżbieta wróciła, demonstrując wszystkim swoje zaczerwienione oczy. Musiała je dobrze potrząść — pomyślał Paweł. Kiedy usiadła, zaczął rozglądać się za kelnerem.

— Dzień dobry — nieznajomy był już przy ich stoliku. — Jeżeli państwo nie macie me przeciwko temu, to usiądę na chwilę — zrobił to, zanim kiwnęli przyzwalająco głowami. — Dziwi się pan, że w takiej dziurze ktoś zna polski? — Uradowała go barania mina, jaką zaserwował mu Paweł. — Pozwolicie państwo, że się przedstawię. Nazywam się Loup. Witold Loup. Moja babka zmuszała mnie do nauki waszego języka i jak widzę przydało się to teraz.

— Zawadzki — powiedział nazwisko Paweł i poczuł długi ciepły uścisk dłoni.

— Teraz wierzę, że was, Polaków, można spotkać wszędzie. Trafić tutaj to wielka sztuka

— Nie jest to chyba tak daleko od pchlego targu, na którym zbiera się przecież cały świat — powiedziała z irytacją Elżbieta jak gdyby zła że przerwał im to smutne sam na sam.

— Te niedobre kobiety zawsze mają rację — powiedział szybko. — Ale do rzeczy. Pap, mój drogi, ma zdaje się jakieś kłopoty w naszym mieście. Przepraszam, ale kilka słów z tego, coście mówili, wpadło mi do ucha. Byłem tak zdumiony, kiedy posłyszałem polską mowę, że przyznam się, ale podsłuchiwałem.

— Może i mam kłopoty, ale nie wiem, czy pan mógłby mi pomóc albo ktokolwiek w tym cholernym mieście — powiedział Paweł.

— Mon ami! — głos delikatnisią stał się teraz przyklepny. — Nic ma sytuacji bez wyjścia. Nigdy nie należy wątpić w drugiego człowieka. Panu, zdaje się, chodzi o pieniądze. A zdobycie ich nic jest chyba takie trudne.

— Łatwo panu mówić — wybuchnął Paweł. — Jestem skończony. Szwendam się tutaj od miesiąca i nic. Żadnej ciekawej pracy. Dają najwyżej jakieś ochłapy. Zarobić na stary samochód i długi, jakie mam w Polsce, to przy tych kosztach utrzymania co najmniej pięć lat. A ja nie mam tyle czasu do zmarnowania przy zamiataniu ulic. Pan jest tu może ustawiony, a wtedy łatwo dawać dobre rady.

— Ja pana rozumiem. Przecież jesteśmy młodzi. Mnie nic trzeba dużo mówić. Ja wszystko rozumiem. Panu trzeba czegoś ekstra. Pana interesuje samochód i inne ciekawe rzeczy. Tego chcą wszyscy zdolni ludzie. Może uda mi się zrobić coś dla pana — spojrział sprawdzając efekt swych słów. Widząc nagłą nadzieję w oczach obojga kontynuował coraz bardziej protekcyjnym tonem: — Pan zna Paryż, mój przyjacielu?

— Niestety, jestem tu po raz pierwszy — powiedział Paweł zbolalym tonem, jakby zdawał sobie sprawę, że to mu zaszkodzi.

— Nie szkodzi, to nieważne — uspokoił go tamten. — Spotkamy się jutro w południe na torach wyścigowych w Longchamps. To jest w Lasku Bulońskim. Jest tam taka mała luksusowa kawiarenka. Poznam tam pana z kimś, kto może dać panu pracę. Dobrą pracę.

— Czy aby na pewno jest to możliwe? Wszystkiego bym się spodziewał...

— Proszę być punktualnie — uciął tamten.

— Nie wiem, jak panu dziękować...

— Może przyjdzie i na to kolej — tamten znowu stał się delikatny. — Rachunku proszę tutaj nie regulować.

Paweł zrobił protestującą minę, a Elżbieta spojrzała na niego z widocznym zainteresowaniem.

— Wyobraźcie sobie, że byliście moimi gośćmi

— kiwnął na kelnera.

Zrozumieli, że rozmowa jest skończona. Kiedy wychodzili, kelner dogonił ich i otworzył drzwi.

Na ulicy Elżbieta odruchowo przytuliła się do niego. Przez długą chwilę szli w milczeniu. Paweł odezwał się pierwszy:

— Nigdy nie spodziewałem się, że masz zdolności aktorskie. Ale, ale, nie wiem, czy nadal mogę ci mówić „ty”.

— Nie pytałeś o pozwolenie przedtem, więc skądże nagle te obiekcje. Nie wyobrażasz sobie, jak się bałam. To było okropne. Chyba nie masz zamiaru jutro spotkać się z nimi? — spytała nagle zaniepokojona. — No! Powiedz, że tam nie pójdziesz.

— Dlaczego nie? Co mi może grozić, przecież szukam pracy.

— Nie wiem, po co to wszystko robisz. To nie moja sprawa, ale niepotrzebnie ryzykujesz. Jeśli chcesz, pójdziemy jutro do Luwru albo gdzieś indziej. Jest tu jeszcze masa rzeczy do zobaczenia.

Paweł przypomniał sobie, że podobne słowa słyszał niedawno od majora Biesagi. Postępek Rygielskiej pozostawał jednak ciągle niezrozumiały. Nie mogła oprzeć się propozycjom finansowym? Postanowił dzia-

łać dalej, wiedząc, że major, tak jak ta dziewczyna, nie byłby z tego zadowolony. Uważał, że na razie nic nie ryzykuje.

— Nie martw się o mnie. Dowiem się tylko, o co chodzi. Może to rzeczywiście intratny interes

— próbował zażartować.

— Jesteś niemądry. Wiem, że nie mam nic do tego i że moja rola skończy się, ale proszę cię, weź mnie jutro ze sobą. Przecież oni myślą, że jesteśmy razem.

Pawłowi coraz bardziej podobała się ta dziewczyna. Szkoda, że Rygielska nie miała jej rozumu, na pewno sprawa skończyłaby się dla niej inaczej.

— Jutro pójde tam sam. Obiecuję ci jednak, że poproszę cię jeszcze o pomoc i radę, i że razem pojedziemy do Luwru.

Wiedziała, że nic nie wskóra. Milcząc wysiedli z metra. Pod domem wspięła się niespodziewanie na palce i pocałowała go w policzek.

— Tylko uważaj na siebie i jak będzie po wszystkim, zadzwoń do mnie.

Przechodząc kolo pokoju Salskiego Paweł dostrzegł przez szparę w drzwiach zapalone światło. Zapukał i usłyszał zapraszający głos. Salski siedział w szlafroku na tapczanie wśród rozłożonych maszynopisów i wykresów.

— Czekałem na ciebie, ale myślałem, że już nic przyjdiesz. Zaraz ci zrobię herbaty. Trzeba będzie trochę zaczekać, bo używam tylko małej grzałki. Jak włączę większą, to u starego na dole zapala się światelko i przychodzi na górę z pretensjami. Widziałeś, jakie to cwaniaki. Przygotuję też coś do zjedzenia, a ty opowiadaj.

Paweł opowiedział dokładnie całą historię. Salski aż chichotał słuchając.

— Miałeś duże szczęście, ale co dalej? Zamierzasz spotkać się jutro z nimi?

— Tak. Trochę się jednak zastanawiam. Jak wiesz, jestem tu na urlopie. Szukam motywów postępowania Rygielskiej. Pomimo że czegoś lam się dowiedziałem, wiem bardzo mało. Jutro mam szansę dowiedzieć się więcej. Co o tym sądzisz?

Salski zastanowił się chwilę.

— Sprawa jest diabelnie ryzykowna — powiedział wreszcie. — To są zawodowcy, u my jesteśmy tylko we dwóch — silnie zaakcentował ostatnie słowo. — Razem jednak także nic nie znaczymy. Ale jeżeli uważasz, że warto, to idź tam jutro, a ja będę cię ubezpieczał.

— Dziękuję ci. Wstyd się przyznać, ale czekałem na takie słowa. Przy twojej pomocy na pewno uda się zrealizować mój plan.

Salski nalał herbaty i pokroił kabanosy. Z walizki wyciągnął butelkę przywiezioną z Polski i rozlał do szklanek.

— Co do tego, że jutro zaproponują mi bardzo podejrzaną pracę, nic mam żadnych wątpliwości. To biuro pośrednictwa pracy, jakie dzisiaj odkryłem u Gastona, rozdziela robotę w środowisku przestępczym. Nie wiemy jeszcze, w jaki sposób wpadła im w ręce Rygielska. Być może jutro zaproponują to samo. Lecz

zanim dojdzie do konkretów, na pewno będą chcieli mnie sprawdzić. Ja także chciałem wiedzieć o nich jak najwięcej. To jest możliwe tylko przy twojej pomocy, musimy złapać chociażby minimalny punkt zaczepienia. Obserwujesz więc jutro moich rozmówców i po skończonej rozmowie przejmujesz ich, w każdym razie tego najważniejszego.

Powinieneś łatwo poznać, który tam będzie najważniejszy, bo w tym światku obowiązuje swoista hierarchia. Nie znają cię. pójdziesz ich tropem i może uda ci się zdobyć jakiś adres lub kontakt. Ale gdyby powstała obawa, że mogą cię zauważyć, wycofasz się z interesu i wrócisz.

— Postaram się wziąć jutro naszego fiata z „Corexu”, bo sprawa może się zawalić, jeśli faceci lub facet będą zmotoryzowani.

— To świetny pomysł. Patrz, że nie pomyślałem o tym.

— Czytałem kiedyś sporo książek kryminalnych, może jutro będzie mi to jakoś procentowało.

— Spróbuj, gdyby coś nie wyszło, to zadziałamy inaczej.

— Masz rację — Salski uśmiechnął się sympatycznie. — O której się spotykamy?

— Po dziesiątej przyjdę po ciebie do „Corexu”.

— Zgoda co do godziny, ale spotkamy się gdzie indziej. Nie chcę, żeby mówiono, że zaraz po przyjeździe załatwiam jakieś prywatne sprawy. Spotkamy się w self-servisie „Trocadero”. To blisko i tanio.

Rozmawiali jeszcze godzinę o szczegółach jutrzejszej akcji, aż Paweł zauważył, że Salski zaczyna zasypiać. Pożegnał się i poszedł do swojego pokoju.

Rano w kranie nie było ciepłej wody, co pozwoliło mu szybciej przyjść do siebie. Przez blisko kwadrans krążył zły po pokoju, dochodziła już dziesiąta, a obiecywał sobie wstać o ósmej. Wreszcie włożył dzinsową kurtkę, w której wyglądał szczególnie młodo, i rozmawiając jeszcze chwilę ze staruszką w recepcji opuścił pensjonat.

O tej porze w self-servisie nie było dużo ludzi. Bez trudu dostrzegł Salskiego, studiującego z uwagą plan Paryża.

— Gotowy?

— Tak jest, szefie. — Salski nie uśmiecha! się jednak tak wesoło jak wczoraj.

Zjedli szybko małe śniadanie. Jechali potem szybko ulicami Paryża. Salski prowadził nic gorzej od miejscowych kierowców. Paweł spoglądał na niego z podziwem, wiedział, że kto daje sobie radę w Paryżu, nie będzie miał trudności w żadnym mieście świata. Pomyślał też, że w gruncie rzeczy bardzo mało wie o swoim towarzyszu.

Wydostali się wreszcie na Avenue Charles de Gaulle. Teraz droga prowadziła prosto do Lasku Bulońskiego. Zwolnili czytając kierunkowskazy. Do torów wyścigowych Longchamps prowadziła szeroka aleja o tej samej nazwie. Na trzysta metrów przed bramą wjazdową Salski zatrzymał samochód.

— Dalej idę sam — powiedział Paweł. — Ty podjedź juk najbliżej i czekaj na mmc na trybunach. Stań się jednak trzymać z daleka. Pamiętaj, że tam wszyscy mogą się znać.

— Dobrze, będę 2 daleka obserwował taras.

— Ale tak. żebym nawet ja cię nie widział.

— W porządku, szefie. — Salski był znowu niepokojąco bez troski.

Paweł szedł bez pośpiechu, miał jeszcze kwadrans. Był pewien, że Salski nie zawiedzie. Myślał teraz o tym, by samemu wypaść jak najlepiej. Ręką przesunął po bujnej czuprynie, wicherząc ją trochę. Podniósł kołnierz dżinsowej kurtki j trzymając ręce w kieszeniach, z młodzieńczym fasonem. I pogwizdując, wszedł na teren słynnych gonitw końskich.

Wokoło panowała cisza przerywana tylko pokrzykiwaniem dochodzącym z toru. Wszedł na trybuny. Widział z góry dżokejów, którzy bez swoich paradnych strojów jeździli na koniach w różnych tempach. Przy głównej trybunie stał biały elegancki budynek z dużym tarasem, z którego można było obserwować wyścigi. Przy drewnianych stolikach siedziało niewiele osób. od czasu do czasu przez lornetki obserwując galopujące konie Paweł spojrzał na zegarek i wolnym krokiem poszedł w lamtą stronę. Głowę miał spuszczone, patrzył uważnie pod nogi stąpając po drewnianych ławkach. Kiedy na moment podniósł głowę, dostrzegł błysk na trybunie, to promień światła odbił się od skierowanej w jego stronę lornetki. Nic przyspieszając kroku wszedł na schody prowadzące do budynku. Przeszedł długi wąski korytarz i otworzył szklane drzwi restauracji.

Sala była niespodziewanie luksusowa. Klubowe, wykładane wiśniową skórą fotele ustawione były przy małych stolikach. Jedna ze Ścian, cała ze szklą, wychodziła na taras.

Paweł usiadł skromnie blisko drzwi wejściowych, jak przysłało człowiekowi nie bywałemu w wielkim świecie. Zanim zdążył podejść do niego kelner, drzwi na taras otworzyły się i wyszedł z nich poznany wczoraj delikatniś, uśmiechając się szeroko.

— Dobrze, że jesteś — teraz już bez wahania mówił Pawłowi „ty”. — Cenimy punktualność. Pójdziemy teraz do moich przyjaciół. Pamiętaj! Jeżeli chcesz pracować, to musisz się spodobać. Idziemy.

Weszli na taras. Na plecionych fotelach siedzieli kibice sportu jeździeckiego, rozmawiający i obserwujący trenujących jeźdźców. Z prawej strony, nieco na uboczu siedziało dwóch mężczyzn. Starszy, bardzo elegancki, o siwiejących skroniach, trzymał lornetkę przy oczach. Młodszy o prostackiej twarzy nudził się wyraźnie gapiąc się na jedyną kobietę, staruszkę w czarnej koronkowej mantylce.

— Oto młody człowiek, o którym wspominałem -- dokonał prezentacji delikatniś.

Paweł wyjął grzecznie ręce z kieszeni.

— Ach, to ty, młody człowieku, Siadaj, proszę. Czego się napijesz? — siwiejący pan miał tak znakomity akcent, że Paweł wyczuł w nim cudzoziemca, który pilnością doprowadził do tego, że jego paryski akcent był lepszy niż u nieboszczyka Chevaliera.

— Coca-coli, jeżeli można.

— Oczywiście, można — powiedział tamten, kiwając ręką na kelnera, który błyskawicznie stanął przy stoliku. — Dla mnie jeszcze raz to samo i coca-colę — zadysponował, a widząc spojrzenie delikatnisia dodał: — A także sok z odrobiną dżinu.

Facet z obstawy został bez niczego, ale musiał być do tego przyzwyczajony, gdyż nic zareagował, beznamiętnie rejestrując wszystkie wdzięki staruszki.

— Co pan robi w Paryżu? -- pytanie padło dość obcesowo.

- Przyjechałem na kilka tygodni. Sądziłem, że uda mi się popracować i kupić stary samochód. Zarobić trochę forsy i wracać. Jednak o pracę ciężko. Forsa rai się kończy. Wyjadę do Kanady albo wracam do kraju. -- Paweł starał się, aby jego francuszczyzna wypadła jak najgorzej, a wygłaszany tekst był szczególnie naiwny. Pierwsze na pewno mu się udało, bo cała trójka miała takie miny, jakby niczego nie mogli zrozumieć.

— Miałbym dla ciebie, chłopcze, dobrze płatną robotę. Zarobiłbyś dużo pieniędzy. Nic ma w tym żadnego ryzyka, trzeba tylko być wystarczająco inteligentnym, żeby to zrozumieć.

Paweł wiedział, że szybka akceptacja może się wydać podejrzana, pomyślał więc chwilę i jak gdyby szukając słów powiedział:

Jestem w wyjątkowo trudnej sytuacji i po trzeba mi bardzo pieniędzy. Moja inteligencja także pozwala mi na niejedno, ale nigdy nie zgodzę się na jakieś działanie przeciwko Polsce, wszystko inne mogę robić.

Starszy pan i Witold Loup patrzyli na niego pilnie; kiedy skończył, zauważył uśmiechy na ich twarzach.

— Co ty mówisz, chłopcze! Nie jesteśmy przecież szpiegami, tylko normalnymi ludźmi interesu. Mnie interesuje biznes i tylko biznes.

— Jeżeli tak, to wszystko w porządku. Co mam robić? — Paweł poruszył się na krześle, jakby już chciał wziąć się do jakiejś pracy.

— Spokojnie. Cieszę się, że jesteś taki szybki, ale to nic pilnego. Tutaj w Paryżu nic potrzebujesz nie robić.

— Więc o co chodzi? — spytał Paweł tonem człowieka podejrzewającego, że robią z niego głupca.

— Oto dwa tysiące franków — elegancki sięgnął po portfel. — Masz tu adres przyzwoitego hotelu, w którym się zatrzymasz. Wydawaj pieniądze, jak chcesz. Na wszystko będzie cię stać. Chciałbym, żebyś wspominał z przyjemnością swój pobyt w Paryżu — posunął banknoty w jego stronę.

— Ale gdzie ta praca? Za darmo przecież nikt nie daje pieniędzy. — Paweł udawał radośnie nieufnego.

— Za kilka dni wrócisz do Warszawy i przewieziesz dla nas drobną przesyłkę handlową, którą nie chcielibyśmy absorbować celników. Bez nas i tak mają dużo pracy.

Loup zachichotał, stary spojrzał na niego i śmiech zamilkł.

— I za to właśnie dostaniesz okrągłą sumkę, o której jeszcze porozmawiamy. No więc, co ty na to?

— A jak znajdą przy mnie ten towar? — ręka Pawła nerwowo bawiła się leżącymi na stole banknotami.

— To niemożliwe. Przewieziesz to w przedmiocie przez nas dostarczonem. Nikt nigdy tego nie znajdzie. Jeżeli jesteś inteligentny, to zrozumiesz. Nic możemy sobie pozwolić, aby towar przepadł.

— Jeżeli tak... — Paweł wahał się jeszcze. — Nie jestem człowiekiem interesu, ale w takiej sprawie muszę znać cenę, za jaką to zrobię.

Widać było, że ta odpowiedź spodobała się staremu.

— Masz rację, synu. Pieniądze przede wszystkim. Myślę, że się dogadamy. Mieszkać w hotelu, który ci poleciłem, i wydawaj pieniądze. Suma, którą ci zaproponuję, chyba cię zadowoli, a jeżeli nie, na pewno nie każemy ci oddać tych głupich dwóch tysięcy, jakie teraz dostajesz.



Paweł uznał się za przekonanego. Starannie przeliczył pieniądze wywołując tym uśmiech u obserwujących go mężczyzn. Przeczytał kartkę z adresem hotelu. Był to znajomy mu hotel. „Royal”. Schował pieniądze i kartkę do kieszeni kurtki.

— W jaki sposób mam skomunikować się z panami?

— To my w odpowiedniej porze skomunikujemy się z tobą. Wprowadź się jutro do tego hotelu i czekaj na wiadomość od nas.

— Czy jestem już niepotrzebny? — Paweł szybko wypił swoją coca-colę. — Jeżeli tak, to pójdę już.

— Oczywiście, jeśli się śpieszysz, to nie zatrzymujemy. Ale jeszcze jedno. Taki drobiażdżek. W interesach nie jesteśmy specjalnie drobiazgowi, ale po pewnych rzeczach musi być ślad w buchalterii. — Siwy przymrużył oko. — Dlatego pokwituj tu odbiór tych kilku franków — podsunął Pawiowi wyjęty z portfela kwit.

Cała trójka patrzyła teraz beztrząsco na trenujących jeźdźców, Paweł bez wahania przypieczętował transakcję ładnym podpisem, co spowodowało ogólne odprężenie. W miłej atmosferze Paweł pożegnał swojego nowego pracodawcę i jego znajomych. Szedł do wyjścia czując na plecach spojrzenia całej trójki. Kiedy wyszedł na zewnątrz, usiłując zapalić papierosa na wietrze, dokładnie zlustrował trybuny i okolice. Salskiego nigdzie nie było widać.

Była czwarta po południu, kiedy Salski ukryły za wysokim wejściem do trzeciego sektora trybun dostrzegł wychodzące znajome sylwetki, które przedtem widział na tarasie z Pawłem. Przeciągnął się i ziewnął. Po kilkugodzinnym czekaniu miał ochotę uściskać facetów, że raczyli wreszcie ruszyć się od stolików. Szli w stronę bramy prowadzącej do wyjścia. Musiał przyspieszyć, żeby tymczasem nie wsiedli do samochodu. Szybko wyszedł na ulicę, o mało nie wpadając na żegnających się przy samej bramie mężczyzn. Młodszy spojrzał na niego z zainteresowaniem, pozostali nie odwrócili głów. Nie mógł teraz zwolnić kroku i oddalał się od nich, klnąc pod nosem. Dziękował losowi, że samochód jego ze względu na brak miejsca zaparkowany był dalej. Doszedł do fiata nerwowo szukając kluczyków. Za plecami usłyszał narastający warkot. Duże trzylitrowe BMW, zaparkowane tuż przy bramie w niedozwolonym miejscu, przejechało teraz z wielką szybkością obok niego ocierając się prawie o jego spodnie. Za kierownicą zauważył siwe włosy najstarszego z trójki. Nie zastanawiając się długo wrzucił pierwszy bieg i ruszył ostro za znikającym w końcu ulicy samochodem. We wstecznym lusterku nie widział nikogo jadącego za nim, widocznie starszy pan chciał być teraz sam. Rozpędził swojego fiata, aż blacha karoserii zaczęła nieprzyjemnie drgać. Aleja, którą jechali, skręcała lekko w lewo i kiedy pokonał zakręt, dostrzegł jeszcze znajomy kształt. Dodał gazu chcąc zbliżyć się na przyzwoitą odległość; bał się, że czarne BMW bliżej centrum zniknie mu z oczu na licznych skrzyżowaniach. Zbliżyć się nie było jednak łatwo. Facet był wytrawnym kierowcą, jechał cały czas z mandatową szybkością wykorzystując pełną moc swojego samochodu. Fiat Salskiego zaczął już rzeźzić, a odległość nie zmniejszała się, cieszył się jednak z tego, że przestała się zwiększać. Na szczęście dla niego przy skrzyżowaniu z Avenue Hugo zapaliło się pierwsze czerwone światło. Salski wyteńczył wzrok i zauważył, że tamten stanął na lewym pasie. Wrzucił więc kierunkowskaz i stanął na tym samym pasie. Przedziały ich trzy samochody. Światło zmieniło się i samochody ruszyły. Czarne BMW nie przepuszczając nadjeżdżających z przeciwka skręciło ostrym szpurtem w lewo. Trzy samochody dzielące Salskiego od siwego kaskadera przepisowo czekały, aż jadący z przeciwka przejadą, i także zaczęły skręcać w lewo. Salski zabierał się już do tego samego manewru, kiedy światło znowu się zmieniło. Wiedział, ile ryzykuje, ale nie zastanawiał się ani sekundy. Docisnął gaz, zmuszając fiata do pofrunięcia prawie, i skręcił w lewo, zanim ruszyła fala kierowców z ulicy przeciwnej. Ryzyko opłaciło się, czarne BMW było jeszcze w zasięgu jego wzroku. Nic słyszał policyjnych gwizdków, a w lusterku nie widział goniących go motocyklistów. Ruch zrobił się więk-

szy i samochód siwego musiał zwolnić dostosowując się do innych pojazdów. Salskiemu pozostało teraz uważnie go obserwować i pilnować pasów, które tamten wybiera. Zajęcie to było jednak trudne przy dużej liczbie skrzyżowań i placów. Salski zaczął stopniowo tracić orientację, nie miał pojęcia, gdzie się znajduje.

Przejechali tak prawie pół miasta i wreszcie z ulgą zauważył prawy migacz w samochodzie, z którego nie spuszczał prawic oczu. Byli na cichej ulicy zastawionej jednak samochodami stojącymi w nic kończącym się szeregu. Tamten zauważył lukę między nimi i wjechał w nią. Salski odrobinę zwolnił, ale musiał jechać dalej, gdyż nie było żadnego innego miejsca do zaparkowania. Rozpaczliwie rozglądał się, patrząc jednocześnie w lusterko, żeby dostrzec, gdzie pójdzie interesujący go mężczyzna. Natrafił wreszcie na szczelinę między starą ciężarówką a czerwonym peugeotem, którą zwolnił chłopak na motorowerze. Salski dokonać musiał ekwilibrystycznych wysiłków, aby wjechać w to miejsce nie demoluując własnego samochodu. Wysiadł wreszcie, lecz siwego nigdzie nie było. Wściekły zaczął iść w stronę BMW rozglądając się na wszystkie strony. Nic znał nazwy ulicy i nic wiedział nawet, w jakiej jest dzielnicy. Po drugiej stronie dostrzegł restaurację. Była to jego jedyna szansa. Kiedy wszedł nie patrząc na jej nazwę, zorientował się mimo braku jakiegokolwiek reklamy, że restauracja musiała należeć do bardzo drogich. Widział już maitre d\*hotela idącego w jego stronę. Zdążył się jeszcze rozejrzeć po pluszach i złoceniach sali i szybko zrejterował w obawie, że zostanie zaciągnięty do stolika. Przeklinał w duchu Francuzów, którzy jak gdyby uparli się nie robić, tylko przesiadywać w przytulnych restauracjach. Postanowił czekać w samochodzie nie tracąc mimo wszystko dobrego humoru. Jego bystre oko zauważyło siwą czuprynę starszego pana, który siedział tyłem do drzwi w towarzystwie młodzianki dziewczyny, z bezmyślną miną przeglądającej kartę. Sądząc po markach samochodów, jakimi podjeżdżali od czasu do czasu goście restauracji, to do końca życia powinien się cieszyć, że nie usiadł przy stoliku. Siwy, jak go w myśli nazywał, wyszedł z dziewczyną po godzinie. Jechał teraz wolniej. Na pewno obzarty jak świnia — pomyślał Salski, który miał w żołądku tylko sandwiczka zjedzonego rano.

Jadąc ostrożnie za miłą parą, zorientował się Wreszcie, w jakiej jest dzielnicy. Małe sklepiki i fabryczki we wschodniej części miasta. Mogło to być tylko Marais. Zaczynało się już ściemniać, uliczki, którymi jechali, w niczym nie przypominały wielkiego Paryża i Salski musiał jechać bardzo ostrożnie, aby nie być zauważonym przez siwego.

Na jednej z ulic czarny samochód zatrzymał się. Salski zwolnił jadąc za małą simcą. Mężczyzna w

BMW zatrąbił i otworzyła się brama w czerwonym budynku przypominającym opuszczoną manufakturę z czasów dyrektoriatu. Samochód wolno wjechał na ocieniony dziedziniec. Salski pojechał jeszcze kilka metrów- i zawrócił. Minął interesujący go budynek i stanął trzysta metrów dalej.

Nic spiesząc się, wolnym krokiem doszedł do bramy, za którą zniknął samochód. Budynek z ponurej czerwonej cegły, o całkowicie wygaszonych światłach sprawiał wrażenie opuszczonego. Nad dosyć paradnym portalem wisiał szyld oznajmiający, że jest to własność Roberta Marcosa, który w tym domu ma przedsiębiorstwo przewozowe założone w roku 1909. Jakość usług oczywiście gwarantowana.

Salski przeczytał to wszystko bez zatrzymywania się i wrócił do samochodu. Kiedy mijał bramę, usłyszał ciche skrzypnięcie. Odwrócił się, brama była uchylona na kilka centymetrów, chociaż założyłyby się, że przedtem była zamknięta. Minął ją słysząc za czarną szparą oddech człowieka, który nie był tok jak on zdenerwowany. Stał po prostu i oddychał. Może to ja oddycham tak wolno? Hamował się, aby za wszelką cenę nie przyspieszyć kroku. Po kilku sekundach usłyszał z ulgą, że brama zamknęła się. Kiedy -wreszcie wsiadł do samochodu, jego koszula była mokra, pomimo że wieczorny wiatr zapowiadał nadchodzącą jesień.

— A więc jutro wyprowadzam się do hotelu „Royal” — powiedział Paweł zapalając ostatniego papierosa z drugiej dzisiaj paczki.

— Zrobisz, jak uważasz. Ale czy nie czas, żebyś się z tego wycofał? — spytał dobrotliwie Salski.

— Teraz już nic warto. Zrobiliśmy ładny kawałek roboty. — Paweł mówił tak, żeby przede wszystkim przekonać siebie.

— Wątpię, czy cię za to pochwalą po powrocie.

— Wiem o tym. Ale bardzo chciałbym, żeby następny ładunek wpadł w nasze ręce. Tracąc takie pieniądze na pewno więcej by nic próbowali. Wiedzielibyśmy też, do kogo w Polsce jest adresowana ta przesyłka. Schwycić tego człowieka — pomyśl, jakie to ważne.

— Co mógłbym jeszcze dla ciebie zrobić?

— Na razie nic. Przyjdę do ciebie w czwartek do „Corexu”, to może cię o coś poproszę.

— Dobrze będzie, jak się dowiedzą, że twoja narzeczona, to znaczy Szymańska, pracuje w „Coreksie”. Będziesz mógł wtedy przychodzić do mnie nic zwracając niczyjej uwagi. Ale co będzie, jak nie przyjdiesz w czwartek?

— To przyjdę w piątek. Nie martw się o mnie. Jestem dla nich chyba cennym człowiekiem. Te kilka dni w hotelu, jakie mi fundują, potrzebne im są na sprawdzenie mnie. Potem jak najszybciej pošlę mnie do Polski. Ich niewiadomy odbiorca na pewno się niecierpliwi. Ciągle jeszcze mało wiem o tej całej sprawie.

— Jeżeli chcesz zajmować się tym dalej, to jedynym człowiekiem, który może mieć na ten temat konkretne wiadomości, jest Wiktor Scalny.

— Kto to jest?

— To potomek rosyjskiego generała, który na emigracji był portierem w hotelu „Claridge”. Matka jego była Polką. Wiktor od dziecka miał szaloną łatwość w uczeniu się języków. Karierę zaczął jako międzynarodowy szczur hotelowy, wodząc za nos policję wszystkich europejskich stolic. Jest też geniuszem charakteryzacji. Potrafił się przebrać nic tylko za Szkota, co nie jest może tak trudne, ale także za żonę Szkota, co chyba przyznasz, jest trudniejsze. — Salskiemu zaczął wracać humor.

— Ale w czym on może pomóc? — niecierpliwił się Paweł.

— Spokojnie, daj mi skończyć. W czasie wojny był mistrzem w kiwaniu Niemców. Sprzedawał wysokim dostojnikom fałszywe Rembrandty i inne dopiero co zrobione przedmioty. Po wojnie chcieli go nawet wsadzić za współpracę z okupantem, poszedł jednak siedzieć za coś zupełnie innego. Odsiedział dwa lata... i przestał się zajmować drobiazgami. Podobno do niedawna kierował poczynaniami pewnych grup nic zawsze mile widzianych przez policję, krótko mówiąc był jednym z nic koronowanych władców podziemia. Ostatnio wycofał się i żyje skromnie sycąc się dawną sławą. Jest chyba cichym doradcą niektórych przestępców, a mówi się, że i policji.

— Nie wyobrażam sobie, żeby można było znaleźć do niego dojście, a jeśli nawet, to nie widzę powodu, dla którego miałby nam coś powiedzieć.

— Powiedzmy, że jest to mój daleki krewny. — Salski miał nieprzeniknioną minę.

— A to dobre! Masz krewniaka w świecie paryskiej elity przestępczej i dopiero teraz o tym mówisz? — Paweł zauważył, że jego kolega zaczyna być coraz bardziej dowcipny.

— Nie żartuj sobie ze ranie — powiedział Salski tonera urodzonego kpiarza. — Mam staruszkę ciotkę. Kiedy byłem dzieckiem, rozpałała moją wyobraźnię opowieściami o dalekim kuzynie, który, jak się wyraża-

ła, prowadził niekonwencjonalny tryb życia. Gdy ciotka przed wojną była w Paryżu, zapalał do niej wielką miłością, niestety Sam rozumiesz, byłby to mezalians — zakończył smutno Salski.

— Masz więc adres tego nietypowego wujasz-ka? — kontynuował Paweł w tym samym słyłu.

— Tacy ludzie jak on nie mają jednego adresu. Mam adres osoby, która powinna wiedzieć coś o rum, a Ust polecający do niej od mojej ciotki.

— To ciekawe, ale jak na poważnego handlowca jesteś wyjątkowo dobrze zaopatrzony w specyficzne adresy.

— Handlowiec handlowcowi nierówny. Ale mówiąc poważnie to nie był mój pomysł z tym adresem.

Nic wiadomo dlaczego Paweł od razu pomyślał o majorze Balińskim.

— W porządku, jeśli tak, to nie pozostaje nic innego, jak odnaleźć twojego niedoszłego wuja.

— Nie będzie to takie proste. Japończyk, który miał się ze mną spotkać w czasie, kiedy jeździłem sobie po Paryżu goniąc tego siwego rajdowca, dzwonił do „Corcsu” i pytał o mnie. Mój szef Falba jest bardzo skrupulatny i nie lubi takich numerów. Dal mi to dzisiaj wyraźnie do zrozumienia. Dlatego mogę ci pomóc tylko wieczorem.

— Jeżeli przeprowadzę się jutro do tego hotelu, muszę być z góry przygotowany na to, że będę śledzony. Zechcą mnie sprawdzić. Wprowadzę się tam jednak dopiero wieczorem, a od rana pobiegam, żeby dowiedzieć się czegoś o panu Wiktorze, który, przyznam się, bardzo mnie zaciekawił. Gdy nie uda mi się dokończyć wszystkiego do wieczora, przyjdę do „Corexu”, powiem ci wszystko, a ty wieczorem pociągniesz sprawę dalej.

— Pamiętaj, żeby nadskakiwać Elżbiecie. To uprawdopodobni twoje wizyty.

— Powiem ci, że zaczynam jej nadskakiwać dla własnej przyjemności.

— Masz rację, to wspaniała dziewczyna.

— Ciekawe, co powie nam Scalny, jeżeli go znajdę, o przedsiębiorstwie przewozowym pana Marcosa?  
— Paweł szybko zmienił temat. — Przedtem jednak spytam o niego telefonicznie komisarza Lefevre.

— Chcesz skierować jego uwagę na tego człowieka?

— Oczywiście. Albo policja zna już zainteresowania pana Marcosa, albo zwrócimy im na niego uwagę. W końcu nie powinniśmy działać na ich podwórku. Nawet w czasie urlopu.

— Racja, zapomniałem, że jesteś na urlopie. Musisz być wyspany, bo od jutra zaczniesz chyba wydawać te dwa tysiące franków. Przynoś chociaż do „Corexu” korki od szampana. Konrad gotów dostać zawału. Ale dosyć tych żartów — sięgnął ręką do kieszeni. — Masz tutaj adres kobiety, u której możesz dowiedzieć się czegoś o Scalnym.

— Rue d'Assas to chyba gdzieś w okolicach Ogrodu Luksemburskiego?

— Masz rację. Powiem ci jeszcze, że w domu naprzeciwko zatrzymywał się Reymont w czasie swojego pobytu w Paryżu. Kobieta, której nazwisko masz na kartce, może mieć już ładne parę lat, ale się tym nie przejmuj. Jest podobno wcale żwawa. Była kochanką wielu mężów stanu, a także kilku znanych bankierów. Oczywiście w lalach dwudziestych. Wiele się podobno od tych panów nauczyła, chociaż niektórzy mówili,

że to oni uczyli się od niej. Przez trzy lata była żoną bardzo młodego Scalnego, który później wypłynął na szersze wody. Rzucił ją wtedy, ale dzisiaj się nią podobno opiekuje.

— Ma dług wdzięczności czy wyrzuty sumienia?

— Chyba jedno i drugie. W każdym razie to ona wprowadziła go w wielki świat, dając też podstawy zawodu, który on dzięki talentowi zamienił w sztukę.

— Widzę, że czeka mnie jutro ładna robota.

— Pociesz się, że mnie też. Ty jesteś na urlopie, a ja jutro wstaję o siódmej. Życzę powodzenia!

Pogoda zepsuła się. Padał niewidoczny deszczyk, który po trzydziestu krokach dokładnie moczył każdego przechodnia. Paweł wstał z bólem głowy. Cały pokój wypełniony był lepkiem, wilgotnym powietrzem. Spakował rzeczy, aby oszczędzić sobie wieczornej roboty. Postawił walizkę na widocznym miejscu przy stole. Na jej tylnej krawędzi, przy zawiasach, przylepił kawałek przezroczystej taśmy.

Na dole minął sennego jeszcze konsjerża, który wykrzywił do niego twarz w uśmiechu, przypominającym grymas faceta cierpiącego na ból wszystkich zębów.

W pensjonacie nic było kabiny, stał tylko na kontuarze zakurzony telefon, a obok niego stos książek telefonicznych i talerzy na pieniądze. Po drugiej stronie ulicy znajdowało się małe bistro. Paweł wszedł tura, poprosił o kawę i żeton. Barmanka wskazała mu kabinę wciśniętą w kąt za barem. Otwierał już drzwi, kiedy do tego smutnego lokalu, jakich pełno w Paryżu i o których nigdy nie wiadomo, skąd czerpie zyski ich właściciel, wszedł następny gość. Paweł obrzucił go obojętnym spojrzeniem i dopiero w dusznej kabinie pomyślał, że człowiek len mógł tu trafić nic z chęci napicia się podłej kawy czy zjedzenia croissanta. Przez szybkę w drzwiach widział go teraz dokładnie. Miał on między narodowo-szmatławy wygląd żuła, charakterystyczny zarówno dla Zgierza, jak i dla Nowego Jorku. Ruchy zwolnione, senne, wypracowane na oglądanych w nędznych salkach westernach, i nerwowe, szczurze błyski w oczach, Paweł wiedział już, że facet może go śledzić; na szczęście kabina była wystarczająco oddalona, więc można było spokojnie rozmawiać. Wykręcił numer i o dziwo komisarz sam odebrał telefon.

— Miło mi pana słyszeć — powiedział uprzejmie, kiedy Paweł przedstawił się. — W czym mogę panu pomóc?

— Chciałbym, jeżeli można, zasięgnąć informacji o Robercie Marcos, właścicielu przedsiębiorstwa przewozowego — powiedział bez wstępów Paweł. — Czy nie mieliście z nim żadnych kłopotów?

W słuchawce zapanowała krótka cisza. Głos, który odezwał się potem, był ciągle uprzejmy.

— Marcos. Znam. Wolałbym jednak wiedzieć, po co panu te informacje. Jak pan trafił do niego?

— To dłuższa historia. Wierzę, że uda mi się jeszcze ją panu opowiedzieć. Przepraszam za śmiałość, ale pańska odpowiedź jest ważna szczególnie dla wydziału, którego jest pan szefem.

W słuchawce słychać było, jak komisarz przełyka ślinę. Paweł przez szybkę widział plecy faceta przy barze, barmanka dolewała mu właśnie do kieliszka.

— No cóż, najlepiej będzie, jeżeli pan do mnie przyjdzie. Pogadamy.

— Z przyjemnością, ale w tej chwili jestem wyjątkowo zajęty. Wpadnę do pana na pewno przed wyjazdem...

— A kiedy pan wyjeżdża?

— W tych dniach. Robert Marcos?

— Dobrze. Marcos jest notowanym przestępcą. Pochodzi z mieszczańskiej rodziny greckiej. Odsiedział w swoim życiu tylko cztery lata. Jego firma, założona po wojnie, trudni się transportem wszystkiego co nielegalne — głos komisarza był smutny. — Ale od dłuższego czasu nie możemy mu nic udowodnić. Napływają różne meldunki o jego działalności, przyłapać go jednak na razie się nie udaje.

— Czy jest to starszy siwy mężczyzna o nobliwym wyglądzie?

— Nie przesłuchiwałem go nigdy. Zdjęcia w archiwum mają już kilka lat ale możliwe, że tak właśnie wygląda. Czy dowiem się wreszcie, o co panu chodzi?

— Marcos pracuje teraz w dużym interesie, a w jak dużym, opowiem panu niedługo. Zwiedziłem już, za pańskimi wskazaniem, Luwr i dwa razy obszedłem w koło wieżę Eiffla. Jak na jeden urlop to chyba wystarczy. Trzeba wyjeżdżać.

— To racja. Czekam więc na pana i proszę uważać na siebie. Pomimo całego szacunku dla majora Biesagi nie mogę zapewnić panu żadnej opieki. Dużo pracy, a mało ludzi. Rozumiemy się, prawda?

— Do zobaczenia, panie komisarzu.

Paweł nacisnął widełki nie odkładając słuchawki. Czubkiem buta uchylił drzwi i zaczął się głośno śmiać. Ucho siedzącego przy barze faceta zaczęło żyć własnym życiem — czerwieniało i rosło. Facet wyteżył się na to słuchanie. Paweł pieszczotliwie przemawiał do słuchawki. Zakończył marzycielskim: — A biento! — i uradowany wyszedł z kabiny. Uśmiechnął się promiennie do zdumionej barmanki, płacąc za nie wypitą kawę. Na ulicy, oblepiony wilgocią spadającą z nieba, starał się iść wesołym krokiem spieszącego na randkę kochanka. Nie oglądał się za siebie. Tamten pewno szedł za nim. Inaczej by tak rano nie wstawał. Idzie, to fakt. Na placu Concorde jakieś stragany z kwiatami. Postanowił kupić bukiet najtańszych kwiatów. Straganiarka, z wyglądu alkoholiczka od siedemnastu pokoleń, ociągała się z wydaniem reszty.

Dopiero teraz odwrócił się, jak gdyby szukając wyjścia z tego ogromnego placu. Facet stał niedaleko, gapiąc się z głodną miną na reklamę majtek firmy Triumf. Paweł uśmiechnął się widząc niedaleko podziemne wejście do stacji metra. Zszedł po schodach i długo studiował plan linii. Wyciągnął z kieszeni plan Paryża. Szukał czegoś, wreszcie zdecydował się — kupił bilet i wszedł na peron. Co chwilę ostentacyjnie patrzył na zegarek.

O tej porze nie było dużego ruchu, jakiś Murzyn, w kolorowym kombinezonie obsługiwał mechaniczną szrotkę. Stary clochard, który schronił się tu przed deszczem, czytał podniesioną z ziemi gazetę. Nadjechał pociąg i Paweł wszedł do wagonu, przechodząc wolno między fotelami. Siedzący go facet siedział już na jednym z nich przeglądając kolorowy komiks. Paweł zbliżył się do schludnej staruszki siedzącej niedaleko mających się za chwilę zamknąć drzwi. Nachylił się nad nią pytając o zupełnie przeciwny kierunek metra. Zatrzepotała gwałtownie rękami, kręciła przecząco głową usiłując mu wytłumaczyć. Drzwi syknęły znacząco. Paweł zrobił zrozpaczoną minę i kiedy drzwi zamknęły się prawie do połowy, wyskoczył niezgrabnie na peron. Podnosząc z ziemi bukiet, który wypadł mu w zamieszaniu, widział przylepioną do szyby i oddalającą się coraz bardziej twarz tamtego.

Zgubił faceta wbijając mu w zakuty łeb oczywisty fakt, że był to przypadek, który może się przytrafić najbystrzyszemu, jeżeli zdarzy mu się śledzić roztargnionego i na dodatek zakochanego cudzoziemca. I w ten właśnie sposób powinien się tłumaczyć swoim chlebodawcom.

Paweł wyszedł schodami na ulicę. Deszcz przestał padać i zza chmur nieśmiało przebijały się promienie słońca.

Teraz musiał się spieszyć. Rue Assas była stąd dość daleko. Przypomnił sobie, że ma pieniądze wręczone mu przez Marcosa. Postanowił wydawać je na zbożne cele i zatrzymał taksówkę. Białym, szybkim citroenem był na miejscu w kilka minut. Taksówkarz aż gwizdnął widząc otrzymany napiwek. Paweł obejrzał dom pod numerem 134, w którym mieszkał autor Ziemi obiecanej, bardziej jednak interesowała go i przeciwległa sześciopiętrowa kamienica, świetna kiedyś, a teraz wyraźnie podupadła. Winda była nieczynna, a schody od trzeciego piętra wyjątkowo strome. Na szóstym piętrze zadzwonił do pomalowanych na biało drzwi. Właścicielka robiła coś chyba w przedpokoju, gdyż drzwi uchyliły się, zanim cofną! rękę od dzwonka.

— Pan do mnie? — głos i oko wyglądające przez szparę były jeszcze całkiem rześkie.

— Przyjechałem z Polski, mam list do pani.

Jego słowa wywarły pozytywny skutek. Łańcuch opadł i drzwi otworzyły się szerzej. Stojąca w nich staruszka mogła mieć rzeczywiście sto lat. Pod jej dokładnym spojrzeniem Paweł czuł się jak na prześwieceniu.

— Proszę iść za mną — odwróciła się i szła w głąb ciemnego korytarza, — Proszę szczególnie uważać na zwierzęta, opiekuję się nimi, a one są nieposłuszne i rozchodzą się po całym domu. Nieznośne. — Szła tak szybko, że ledwie domyślał się konturów jej pleców. Podnosi! nogi wysoko. 'Wreszcie otworzyły się jakieś drzwi i znalazł się w wielkim pokoju, umeblowanym najdziwniejszymi meblami, jakie kiedykolwiek widział. Okna nie były otwierane od bardzo dawna, przez zakurzone szyby przedzierało się Światło, w którego promieniach unosił się dostojnie kurz, poruszany niespiesznym, delikatnym oddechem właścicielki mieszkania. Wskazała mu ręką miejsce na rokokowej kanapce, a sama usiadła na fotelu przykrytym, wełnianą chustą.

— Proszę więc o list, kawalerze.

Paweł podał jej kopertę. Obejrzała ją dokładnie ze wszystkich stron, powąchała nawet. Wyjęła list patrząc to na kartkę, to na Pawła. Po kilku minutach powiedziała:

— Lepiej niech mi pan powie, o co chodzi, gdyż nie mogę go przeczytać.

Na zdziwione spojrzenie Pawła odpowiedziała z nieśmiałym, a może chytrym uśmiechem:

— Gdzieś w latach pięćdziesiątych zgubiłam okulary, a przecież dla takiego drobiazgu nie będę wychodzić na ulicę. Nic mam też kogo posłać.

Paweł zrobił ruch, jakby miał wstać i iść po okulary. Przez grzeczność nie spytał, czy chodzi o • lata pięćdziesiąte tego wieku.

— Zresztą i tak zgubiłam gdzieś receptę. Niech mi pan po prostu powie, co jest w tym liście.

— Elwira Zemełko pozdrawia panią.

— Elwira?... — zastanawiała się głośno. — Ach, oczywiście, pamiętam. Jej brat pojedykował się o mnie w czasie wystawy światowej. Bardzo dziarski oficer. Elwira była wtedy małą dziewczynką, ale później rozwinęła się w śliczną panienkę. Mówi wspaniale po francusku. Pozdrawia mnie teraz? To dobrze, bardzo dobrze, że ludzie o sobie nie zapominają. Ale na pewno też coś chce ode mnie. Nie wierzę w bezinteresow-

ność, jak pan zauważył, przeżyłam już kilka lat. Więc o co jej chodzi? Pieniądzy i żadnych stosunków już nic mam. Po prostu żyję za długo i przeżyłam wszystkich.

— Nie chodzi o pieniądze — powiedział grzecznie Paweł obserwując dziwnego ptaka głaskanego bez przerwy. — Chciałbym uzyskać od pani adres Wiktora Scalnego.

— Wiktora? — staruszka odmłodziła nagle o jakieś siedemdziesiąt lat, wyglądała teraz na nie więcej niż pięćdziesiąt. Jej oczy spojrzały bystro.

— A na co ci Wiktor, młodzieńcze? To już też stary człowiek.

Teraz dopiero zauważył, że spoza mebli patrzą na niego liczne oczy nieruchomych ptaków, kotów i białych myszy.

— Chyba się ich pan nie boi, młodzieńcze? One nie gryzą ani nie dziobią obcych. Są oswojone. Prawda, moja droga? — spytała papugi.

Rzeczywiście są oswojone — myślał Paweł. — Ten, co je oswoił, zużył na to sporo trocin.

— A więc po cóż ten Scalny? — powtórzyła pytanie.

— Mam pewien męski problem, w którego rozwiązaniu mój stryj Wiktor mógłby pomóc. — Paweł bez wahania odebrał Salskiemu jego stryja.

Jest pańskim stryjem? To oczywiście zmienia postać rzeczy. Wprawdzie nigdy mi nie wspominał o swojej rodzinie, ale właściwie Wiktor nigdy o niczym mi nie mówił. Jest za bardzo zajęty — pocieszyła się od razu. — Myślę jednak, że nic będzie miał do mnie pretensji, jeżeli skieruję cię do niego. W tym wieku nawet tacy jak on potrzebują jakiegoś kontaktu z przeszłością. Zwłaszcza że ostatnio nic jest w najlepszej formie. Głuchnie. Pomimo opieki najlepszych specjalistów słyszy już bardzo słabo. Muszę głośno mówić, kiedy zwracam się do niego. Bardzo go to. załamało. Najgorsze jednak, że ja sama nie znam jego adresu. Nigdy go o to nie pytam. Przychodzi tu do mnie raz w miesiącu, nieraz rzadziej. Reguluje komorne, przynosi łakocie i załatwia mi przeważnie jakąś służącą, która później wytrzymuje zaledwie tydzień czy dwa, bo się boi moich zwierząt. I tak ciągnie się od lat. Jedyne, co wiem o Wiktorze, to to, że od dawna jada w jednej restauracji. Wszyscy go tam znają i biorą podobno za jakiegoś markiza. Tak w każdym razie mówi Wiktor. Założono tę knajpę gdzieś po wojnie. Dlatego nie mogę ci powiedzieć, jak się w niej jada.

— Wystarczy mi chociaż jej nazwa.

— Nazwa? Oczywiście! — Madame Luiza ożywiła się, widać było, że przypominanie sobie pewnych rzeczy dodawało jej wigoru. — Z tym nie będzie kłopotu. Zaraz, jak się ona nazywa? Kiedyś przychodziły lam gwiazdy filmowe, później także rekiny finansjery, a teraz podobno przychodzą nawet wielcy ? gangsterzy. Ale jakie tam są dzisiaj gwiazdy, przestępcy czy bankierzy. Lepiej nie wychodzić z domu, żeby czasami nic jeść z nimi obiadu. Podobno umarła Lucienne Boyer. Słyszał pan coś o tym?

— Tak, umarła cztery lata temu.

— No właśnie, to była dopiero vedetta, jaki szyk, bardzo ją lubiłam, jako młoda dziewczyna śpiewała na przyjęciu weselnym, kiedy wychodziłam za hrabiego de Valmond. Słyszał pan pewnie o tym?

— Oczywiście — skłamał. — Jednak w Paryżu jest wiele miejsc, gdzie spotykają się znani ludzie. Może przypomni pani sobie jakiś szczegół. Czy to nie „Maxime” lub „Ritz” — przypominał sobie znane z lektur nazwy.

— Nie, to żaden z nich. Mieści się na Champs Elysees i w nazwie ma coś podobnego.



— Może „Elysees-Matignon”?

— Tak, na pewno — uradowała się — „Elysees-Matignon”, właśnie. Trafisz tam?

— Na pewno. O której godzinie można tam zastać stryja Wiktora?

— Ode mnie zawsze wychodzi przed piątą po południu, aby zdążyć na obiad. Więc gdzieś o tej porze.

Podala mu rękę, a kiedy ją pocałował, staruszka wyprostowała się i oczy jej zaczęły rzucać dumne błyski. Odprowadzając go do drzwi trzymała pod pachą swoją papugę. Stała jeszcze z ręką na klamce i spuszczać oczy jak pensjonarka powiedziała:

— Jeżeli uda ci się go znaleźć, to przypomnij mu o mnie. Minęły już prawie trzy tygodnie, kiedy widziałam go ostatni raz.

Schody, kiedy się z nich schodziło, były o wiele wygodniejsze, ale fakt ten w najmniejszym stopniu nie poprawił humoru Pawła.

„Elysees-Matignon”, w bedekerach zaznaczono trzema gwiazdkami, był to słynny lokal. Jego sława nie tyle związana była z dobrą kuchnią, co raczej z ludźmi, którzy pojawiali się tutaj. Tu właśnie przesiadywał Alain Delon ze swoją żoną i przyjaciółmi, a także z potężnym i przystojnym Jugosłowianinem, służącym mu za goryla i znalezionym w czasie jakiś później z kulą w głowie. Tutaj gangster Jean Gaspard sprzedał pomysł swojego „skoku” Lelouchowi, który wykorzystał to w filmie Łobuz.

Po dwugodzinnym wałęsaniu się po mieście Paweł otworzył drzwi restauracji. Z czasów swojego paryskiego stypendium pamiętał, kto tu przychodzi i jak trudno zdobyć stolik. Teraz nieważne były gwiazdy filmowe i snobistyczne idiotyzmy, ważne było, aby maitre d'hotel wiedział coś o

Scalnym. Sala widoczna z przestrzennego foyer nie była nawet w połowie pełna. Zdawało się, że aż siedmiu kelnerów przypada na jednego gościa nie nudząc się przy tym wcale. Widząc niezdecydowanie Pawła, starszy kelner podszedł szybko, z ukłonem, lustrując przy tym nowego gościa. Lustracja wypadła nie najgorzej. Obszarpani milionerzy w dzinsach do reszty bowiem pokręcili w głowach biednym portierom w luksusowych hotelach i kelnerom w takich restauracjach; kelner zapytał więc grzecznie:

— Gdzie pan sobie życzy siedzieć, monsieur? Paweł postanowił zaryzykować.

— Jestem umówiony z panem Wiktorem Scalnym na wspólny obiad.

Kelner nawet nie mrugnął okiem.

— Przyszedł pan odrobinę za wcześnie, ale wcale się panu nic dziwię. To na pewno ważny obiad — pochylił się ku Pawłowi z dziwną poufałością. — Pan Scalny przychodzi zazwyczaj o szóstej.

Starszy kelner skinął na młodszego kelnera i powiedział mu coś po cichu.

— Zaprowadzi pana do stolika pana Scalnego — zwrócił się później do Pawła.

Dziwnym trafem kelnerzy z przystawkami na metalowych jeżdżących stolikach nie zatrzymywali się przy nim. Pora nic sprzyjała chyba pobytowi gwiazd filmowych, bo nie rozpoznał nikogo, może tylko jeden z kelnerów przypominał Louisa de Funes, miał jednak wolniejsze ruchy.

Parę minut po szóstej Paweł zauważył, że zgięty wpół maitre mówi coś wysokiemu mężczyźnie wskazując na jego stolik. Mężczyzna zbliżał się powoli z wyrazem zdziwienia na twarzy. Miał piękną, ale zniszczoną twarz rzymskiego senatora. Ubrany był z elegancją połączoną z odrobiną niedbałości. W miarę jak się zbliżał, przybywało <- mu lat. Jego twarz pokryta była siecią zmarszczek, a ruchy z daleka płynne z bliska przypominały o wieku Wiktora Scalnego, bo tylko on mógł stać teraz przed Pawłem uśmiechając się dobrotliwie. Paweł wstał.

— Czyżbyśmy byli umówieni na obiad, młody przyjacielu? Nie znam cię. Jesteś może kolegą Picrre'a? — uprzejmie wyciągnął rękę do Pawła.

— Chciałbym z panem porozmawiać i dlatego użyłem tego pretekstu, aby móc tutaj czekać. Przyjechałem z Polski. — Uścisk ręki przedłużał się, wreszcie Scalny puścił jego rękę.

— Siadajmy więc. Jeżeli fatygowałeś się do mnie aż z Polski, to na pewno nie bez powodu. —

Nie widać było, aby słowo Polska zrobiło na nim. większe wrażenie. Kelner stał wyprostowany przy ich stoliku.

— Jesteś na pewno głodny — stwierdził Scalny niczym nie dając po sobie poznać, że nic interesuje go ewentualne zaprzeczenie. Nie patrząc w karłą wydał polecenie kelnerowi, który wyglądał" w swoim eleganckim (raku, jak gdyby tylko przez pomyłkę nic został dyrygentem w Carnegie Hall albo gdzie indziej.

— A więc przyjechałeś z Polski. Wybacz, że nie mówię z tobą w tym języku, ale już z pięćdziesiąt lat nie mówiłem po polsku, a ty świetnie mówisz po francusku. Nie sądziłem, że ktokolwiek pamięta o mnie w starym kraju. — Cały czas mówił bardzo głośno i słuchając uważnie patrzył na usta rozmówcy.

— Jestem przyjacielem pańskiego kuzyna, syna pani Zemełko.

— Pamiętam, Zemełkowie z Warszawy. I cóż ona, żyje?

— Tak. Cieszy się najlepszym zdrowiem. — Tego Paweł nie był najbardziej pewien. — Polecono mi dowiedzieć się o pańskie zdrowie, a jednocześnie miałem zwrócić się do pana, gdybym w Paryżu miał jakiś problem.

— I właśnie masz problem? A wiadomość o tym, że jadam właśnie tutaj, dostałeś także od Cisi Zemełkowej?

Paweł wiedział, że teraz musi odpowiedzieć bez wahania,

— Tę wiadomość otrzymałem od madame Luizy, do której skierowano ranie najpierw.

Scalny z uwagą przypalał długie cygaro.

— Przypomniałeś mi o niej. Przecież ona już może nic ma co jeść. Muszę tam jutro iść i zostawić jej większą sumę. Ostatnio nic mam pamięci, a ona może przeżyć trzech takich jak ja. No, wracajmy do twojej sprawy, trafiłeś więc do mnie...

Kelner zaczął właśnie serwować potrawy i Scalny przerwał. Upił z kieliszka odrobinę chablis i dopiero kiedy kelner odszedł, kontynuował:

— Na pewno nie masz gdzie spać w Paryżu — powiedział przypatrując się Pawłowi.

— Nie, nie chodzi o to — wydawało się, jakby Scalny trochę posmutniał, — Mam załatwioną pracę w Paryżu, ale jest ona na tyle specyficzna, że chciałbym się czegoś dowiedzieć o swoim chlebobdawcy.

Spojrzenie Scalnego przestało być miękkie i marzycielskie.

— A cóż ja mogę mieć wspólnego z twoim ^Chlebodawca? — zapytał czujnie.

— Nazywa się Marcos i jest właścicielem firmy Marcos i ska.

Scalny był zbyt wytrawnym graczem, aby pozwolić sobie na drgnięcie powiek. Spokojnie zajął się liściem sałaty na swoim talerzu, kiedy wreszcie podniósł oczy, spojrzenie jego nie było już czujne, było twarde jak walka z prawem, którą toczył przez całe życie.

— Wspaniała historia, młodzieńcze. Przychodzisz do mnie, opowiadasz mi, że przyjechałeś z Polski. Mówisz o pracy i pytasz mnie o człowieka, którego nic znam, wcale nie powinienem znać, a mówiąc najważniejszej znać nie chcę. I mam ci o nim powiedzieć, a może jeszcze dać jego zdjęcie czy adres jego kochanki. Nic ma rady, kochasiu, jesteś ładnym chłopcem, lecz jeśli pracujesz dla policji, to powinieneś wiedzieć, że nic jest łatwo wziąć mnie na takie kawały. — Patrzył teraz na Pawia już tylko z rozbawieniem, rozkoszując się jego zbaraniałą miną, i jakby chcąc go dobić, dodał: — Żeby mnie przekonać, musiałbyś teraz wyjąć z kieszeni polski paszport, mój młody przyjacielu, ale w to poczciwy komisarz Lcfevre nie mógłby cię wyposażyć. Puścili ładnego chłopca wiedząc, że stary Scalny lubi ładnych chłopców, kazali mu opowiedzieć coś o Polsce, bo wiedzą, że stary Scalny ma miękkie serce, i myślą, że to wystarczy. A to mało, stanowczo mało. Ale dlaczego nie jesz, chłopcze? Czyżby ci tu nic smakowało? Mnie kuchnia wydaje się lepsza od waszej na Quai des Orfveres. Co prawda jedząc tam nie byłem na twoim stanowisku. — Stary mistrz bawił się wybornie oddzielając jednocześnie dokładnie mięso jagnięcia od kości.

Paweł ze spuszczoną głową wytarł ręce w serwetkę rozłożoną na kolanach. Scalny obserwował jego poczynania z pobłażliwym uśmiechem, a on sięgnął do tylnej kieszeni, wolno wyciągając z niej portfel i nic z niego nie wyjmując, posunął go po obrusie w stronę Scalnego. Ten przestał się uśmiechać, przełknął i wziął do ręki portfel. Otworzył go ostrożnie, przesunął końcami palców zdjęcia i kartki. Wyciągnął książeczkę w niebieskiej oprawie i przekartkował ją dokładnie, potem schował z powrotem do przegródki i nie szukając już nic innego, przesunął portfel w stronę Pawła.

Nie miał najweselszej miny, był inteligentny, wiedział, że przegrał pierwsze starcie.

— Przepraszam. Widzę, że naprawdę przyjechałeś przed kilkoma dniami. Wziąłem cię za kogoś innego. Pomimo że prowadzę żywot nadzwyczaj spokojny, niejeden co ważniejszy flic wpada do mnie, aby pogawędzić. A o czym ja mogę z takim mówić? — Po minie można się było zorientować, że żywot starszego awanturnika nie ze wszystkim jest taki spokojny. — I naprawdę chcesz z nim pracować? Wyglądasz na studenta. Co robisz w Polsce?

— Studiuję.

— No widzisz. Na pewno coś o mnie słyszałeś. Nic sędzę, aby Cisia nie powiedziała ci tego czy owego. Dlatego wierz mojemu doświadczeniu. Chociaż jestem dzisiaj zwykłym akcjonariuszem, mam wyścigowe konie i mimo złego słuchu chodzę regularnie do opery, to jednak Paryż znam wciąż doskonale, lepiej niż niejeden swoje mieszkanie. Teraz prefekt może najwyżej przyjść do mnie na kolację ze swoim synem, a ładnego ma chłopca, mówię ci.

Paweł starał się wywnioskować, gdzie kończą się granice wyobraźni starego wygi, a zaczyna rzeczywistość.

— Całe życie ryzykowałem, ale teraz stałem się sentymentalny i radzę ci, synu — wracaj do Polski, jedź nawet do Argentyny lub gdziekolwiek, ale od polityki i monsieur Marcosa trzymaj się z daleka. Szkoda

cię na to wszystko. Dzisiaj policja ma całkiem inne metody niż przed laty, a on już niedługo pochodzi na wolności. Ten szczeniak przed wojną praktykował u mnie, teraz jest wielkim szefem. Ale pozostał tylko rzeźmieszkiem i niczym więcej. Więcej w jego karierze trupów niż w moim życiu przyjemności, a nic narzekam na ich brak, kiedyś kobiety, teraz... — przerwał na chwilę — ale to wszystko, występowanie przeciw prawu, było sprawą dość czystą, jeżeli można mówić o czystości w tym fachu. Działalem zawsze sam lub w małych grupach. Dziennikarze, którzy o mnie pisali, nic ukrywali « nutki sympatii. O historii z kilogramami druid, aluminiowego, który na podstawie samych końcówek sprzedałem pewnemu maharadży jako platynowy przyjmując wynagrodzenie w szmaragdach, oczywiście słyszałeś?

Paweł potwierdził bez wahania bojąc się, że za chwilę czeka go długa opowieść.

— No widzisz, to były numery. Przeze mnie nie ginęli ludzie jak w tych aferach z narkotykami. Sam jestem za wprowadzeniem kary śmierci za handel tym świństwem, a domyślasz się chyba, że jest to pogląd w pewnych środowiskach wyjątkowo niepopularny. Narkotyki to jednak wielki i stały dochód i gangsterzy nigdy z niego nie zrezygnują. Wiem o wszystkim, co się tutaj dzieje, a nie dzieje się dobrze. Dlatego radzę ci, chłopcze, unikaj jak ognia mieszania się w takie interesy.

Scalny patrzył na niego z ojcowską miną. A Paweł myślał teraz o czymś zupełnie innym. Chyba już w Warszawie przewidziano, że będzie siedział tu w restauracji i jadł obiad ze Scalnym.

Scalny, biorąc milczenie Pawła za oznakę niezdecydowania, mówił już teraz gniewnie:

— Paryż po marsylskiej. wpadce siatki zwanej French Connection (Francuski Łącznik) zaczyna przejmować większe interesy kolporterskie. Może niedługo zacząć konkurencje z Amsterdamem, który dostarcza wszystkim i wszystko. Londyn opanowany jest przez Chińczyków z Hong-Kongu z organizacji Triada. Bez ich pośrednictwa nie sprzeda się na wyspie nawet kilku gramów. Wielkim rynkiem zbytu, kto wie, czy nie największym po Stanach, jest Skandynawia. Ludzie Van Croofa z Amsterdamu i właśnie Marcos z Paryża konkurują w opanowaniu tego rynku. Zginęło już przy tym kilka osób. Wyjątkowo niebezpieczny interes.

— Czy wysyłają także do Polski? — Paweł starał się, aby pytanie wypadło naiwnie.

— Nie. Po co? Tam nie ma takiego problemu i wasza policja, pardon, milicja pracuje dobrze.

Fajnie o tym słyszeć z jego ust, ale skąd ten transport? Czyżby chodziło jednak o Skandynawię? Powiedzieć mu czy nie? Ostatecznie przecież on mówi bardzo dużo, a jeżeli mnie napuszcza, ryzykuję tylko kawałek metalu w głowie, ale jeżeli chce mi pomóc, to ważne, aby potwierdził moje domysły.

Paweł myślał intensywnie, wreszcie zdecydował się:

— Marcos chce, abym z narkotykami jechał do Polski — wypalił obserwując uważnie twarz tamtego.

Scalny, zadowolony ze swojego monologu, przypalał z błogą miną cygaro. Teraz znieruchomiał. Dosłownie znieruchomiał. Jego twarz przypominała kamienną maskę. Kiedy zapalka oparzyła mu palce, potrząsnął lekko ręką, nie mrugnawszy przy tym nawet powieką. Paweł kończył jeść lody ze srebrnego pucharka, zainteresowany tylko wyławianiem kawałków ananasa.

— Nic pojmuję, co się dzieje, jestem już chyba za stary — powiedział wreszcie Scalny.

Znowu milczeli. Scalny pogrążony w swoich myślach. Paweł skupiony czekał. W restauracji przybywało gości, niektórzy w smokingach, a bogatsi, jak Jean Claude Brialy, słynny aktor i właściciel konkurencyjnej restauracji, w dżinsach i bawełnianej koszulce' uniwersytetu Yale. Scalny upił trochę koniaku. Spojrzenie miał weselsze.

— Do Polski mówisz? Wybacz to chwilowe zdziwienie, ale fantazja tych Judzi przewyższa moją biedną, starą inteligencję. — Stawał się znowu sobą, z pogodnym ironicznym uśmiechem na twarzy. — W pierwszej chwili pomyślałem, że chcą wejść na socjalistyczny rynek z towarem, którego ludzie poważni w waszym kroju na pewno sobie nie życzą, w przeciwieństwie do takich wiatrogłówów jak ty, chłopcze. Dobrze mówię?

Paweł zrobił niewyraźną minę, jakby codziennie przed śniadaniem łykał po kilka pastylek LSD.

— Jednak rozwiązanie jest inne. Zupełnie proste i ma związek z tym, co powiedziałem poprzednio. — Paweł wiedział, że Scalny potwierdzi to, czego on także się domyślał. — Szwedzi wydali teraz walkę narkotykom. Na lotniskach dzieją się tam podobno bardzo interesujące rzeczy. Psy, koty i wszelkie inne zwierzęta, które mogą wywahać narkotyki, pracują dla nich. Wszyscy wiedzą, że trzeba ratować społeczeństwo. Przerzuty są coraz trudniejsze. Marcos mógł więc wpaść na pomysł, aby jednym z kanałów była granica z Polską. Celnicy szwedzcy spodziewają się tam najwyżej polskiej wódki. Stąd chyba narkotyki miały najpierw znaleźć się w Warszawie. Teraz sobie przypomniałem, że słyszałem już o jednym Polaku pracującym dla Marcosa.

Paweł o mało nie udławił się kawałkiem banana,

— Nie wiedziałem jednak -- kontynuował Scalny — że mają właśnie taki plan. Ale jakkolwiek byłby ten plan, zmykaj stąd, chłopcze.

— Ma pan rację — Paweł wyglądał na zupełnie przekonanego. — Zna pan może nazwisko tego Polaka, warto by go może uprzedzić?

— No, nie bądź takim altruistą, bo nie uwierzę w twoje czyste intencje. On jest zresztą poważnie zaangażowany. Jest w grupie Marcosa już pół roku. Podobno bardzo chytry.

Dlaczego nie mówi, że to kobieta? — pomyślał Paweł i patrząc tamtemu w oczy powiedział:

— A jeżeli bym pana poprosił o możliwość skontaktowania się z nim?

Scalny popatrzył na niego badawczo i uśmiechając się, powiedział:

— Czego się nie robi dla ładnych chłopców. Nie wiem, co masz w tym za interes, ale dla Cisi, która cię protegowała, postaram się coś zrobić. O skontaktowaniu was nie ma mowy, tego Marcos nie znosi, a ja nie chcę mu wchodzić w paradę. Może będę mógł mieć dla ciebie nazwisko. Czego chcesz, mały? — ostatnie słowa skierowane były do pikolaka stojącego od dłuższej chwili przy ich stoliku.

— Telefon do pana hrabiego — chłopiec skłonił się, a w jego oczach Paweł dostrzegł więcej zainteresowania tym stolikiem, niż należało.

— Dobrze, już idę. — Scalny machnął ręką i pikolak odszedł. — Widziałeś tego małego. Śliczny, co? A jednak to stary wyga. Sprzedaje wszystkim wszystko. To Włoch z pochodzenia, oficjalnie pracuje dla Marcosa, a w policji rejestrowany jest jako konfident. Dziennikarzom sprzedaje plotki o aktorkach. Mnie tytułuje hrabią, bo ja mogę go użyć tylko w jednoznaczny sposób. Tylko czy ja nie mówię zbyt głośno? — spytał sam siebie. — Poczekaj chwilę, zaraz wracam.

Paweł został sam. Przeczucie mówiło mu, że powinien jak najszybciej stąd wyjść. Wiadomość o Polaku skomplikowała sytuację. Scalny przyszedł za chwilę wyraźnie podenerwowany.

— Wyobraź sobie, że to jakaś pomyłka. Pierwszy raz zdarza mi się tutaj coś takiego. — Widać było, że go coś nurtuje. — Jeżeli pozwolisz, to pożegnamy się. Jutro wieczorem czekam na ciebie w mieszkaniu, którego używam rzadko, chyba nikt nie zna adresu. Do jutra i uważaj na siebie.

Podali sobie ręce, a kiedy Paweł odszedł, poczuł w swojej dłoni małą karteczkę. Na ulicy, po kilku minutach, gdy zorientował się, że nikt za nim nie idzie, przeczytał karteczkę. Był na niej tylko dokładny adres.

W pensjonacie nic się nie zmieniło. Konsjerż dłubał w zębach i podając klucz nie patrzył Pawłowi w oczy. Na drugim piętrze przepaliła się żarówka i ledwo mógł trafić do drzwi swojego pokoju. Zapali! światło i położył się na łóżku. Był już spakowany, chciał chwilę odpocząć przed przeprowadzką. Walizka stała tam, gdzie ją zostawił przed wyjściem. Nie spieszyło mu się do niej — wiedział, co zobaczy. Wypalił dwa papierosy, wreszcie wstał i długo dokładnie mył ręce. Przerzucił przez ramię płaszcz i wziął do ręki walizkę. Jeden rzut oka wystarczył mu, aby się przekonać, że kawałek przezroczystego plastra, który przykleił rano, był zerwany.

Kiedy na dole regulował rachunek, poczęstował faceta papierosem i sam zapalił. Szybki ruch, z jakim tamten wyskoczył z ogniem, i szczurzy uśmiezek na twarzy upewniły go, kto pomógł ciekawskim sforsować drzwi do jego pokoju. Wyszedł i zamiast napiwku poklepał faceta po ramieniu.

Na ulicy było już ciemno, ale bez trudu zauważył mężczyznę, który śledził go rano. Miał teraz na sobie ciemny płaszcz z podniesionym kołnierzem i małą czarną walizeczkę. Musiał zostać solidnie opieprzony przez swoich bossów, bo teraz. Paweł czuł prawie jego oddech na karku.

Dojechali w dobrej komitywie metrem do Richard Lenoir. Paweł miał ochotę zaproponować mu niesienie swojej walizki, ale hotel „Royal” był już niedaleko. Przy wejściu boy wyrwał Pawłowi walizkę, nie znany mu z wcześniejszych odwiedzin recepcjonista, kiedy wymienił nazwisko Marcosa, bez słowa podał klucz, prosząc tylko o wypełnienie karty pobytu. Śledzący go facet zdematerializował się do tego stopnia, że nic było go w windzie, do której wszedł Paweł. Windziarz, kiedy dostał franka, mrugnął do Pawia wprawiając go w zdumienie tak duże, że sam mrugnął do niego. Jego pokój był na trzecim piętrze, w samym końcu korytarza. Rygielska mieszkała na piątym. Pokój był! duży, umeblowany z przepychem, a może po prostu tak mu się wydawało po-skromnym pensjonacie. Oglądał go metodycznie zamknawszy drzwi na klucz. Zajrzał pod duże mieszczańskie łóżce, przeszukał pokój centymetr po centymetrze. Najwięcej trudności sprawiło mu odsunięcie wielkiego obrazu, wiszącego na głównej ścianie i przedstawiającego Ledę w zaawansowanych figlach z łabędziem, a namalowanego-chyba przez dyrektora hotelu w przystępie ataku szaleństwa. Przeszukał też wykładaną marmurem łazienkę z wanną, w której można by wykąpać konia. Właśnie kiedy nachylił się nad umywalką, zadzwieczał telefon. Jego dzwonek był równie dostojny, jak cały ten hotel. Facet, który szedł za nim, musiał już donieść o jego przeprowadzce. Podniósł słuchawkę.

— Tu Marcos. Cieszę się, że pan już jest. Zmęczony pan przeprowadzką?

— Odpoczywam właśnie.

— To świetnie. Jeżeli pan pozwoli, to przyjdziemy za godzinę,

— Czekam.

Szczęknęła odłożona słuchawka. Miał więc-godzinę czasu na przygotowanie się do rozmowy.

Zaczął od rozpakowania się. Otworzył walizkę — wszystko było w niej poukładane tak, jak zostawił wychodząc. Były to oczywiście same ubrania, pocztówki i kilka pornograficznych pisemek, które znalazł w szafie pensjonatu i wsadził do walizki dla podkreślenia swoich zainteresowań.

Chciało mu się pić, & do wody sodowej, którą zamówił wezwawszy dzwonkiem boya, zażądał też butelki whisky, aby jego chlebodawcy nie myśleli, że jest sknerą i nie umie wydawać uczciwie zarobionych pieniędzy. Kiedy został już sam z butelką, nalał sobie trochę do szklanki, a pół butelki wylał do umywalki, sam siebie w duchu klnąc za takie marnotrawstwo.

Usiadł w fotelu z odrobiną whisky i czekał. Czekał wierząc, że nie wiedzą jeszcze, kim jest, że nie wiedzą o rozmowie ze Scalnym i nie zauważyli Salskiego jadącego za nimi. Najbardziej martwił go pikolak w restauracji i niewyraźna mina Scalnego. Ale nawet jeżeli ten mały był kapusiem Marcosa, to być może nie określi go dokładnie, raczej powie, że Sealny rozmawiał z kimś z policji, Z drugiej strony, gdyby Marcos już coś wiedział, nie dzwoniłby, tylko inaczej załatwił sprawę. Wyobraża! już sobie, jak bardzo będzie niezadowolony major Biesaga, a jaką będzie miał minę Salski, kiedy jutro mu powie, co jeszcze jest do zrobienia. Nie zauważył nawet, że jeszcze dolewa do szklanki. Czyżby się bał? Z udzielenia sobie odpowiedzi na to pytanie wybawiło go pukanie do drzwi, Spojrzał na zegarek. To mogli być tylko oni. Podszedł wolno do drzwi. Nogę od siedzenia bez ruchu miał zdrętwiałą. Otworzył kordialnym ruchem drzwi i uśmiechał się szeroko, jak człowiek szczęśliwy ze swojego położenia. Było ich tylko dwóch — Marcos w kapeluszu i z Jaską i wysoki filmowy goryl, mogący wystraszyć niejednego staruszka, z ręką trzymaną, chyba z przyzwyczajenia, vz prawej kieszeni.

— Witam, nie przeszkadzamy? — Marcos był uprzedzająco grzeczny.

Uścisnął rękę Pawła i nie czekając na odpowiedź podał swój kapelusz gorylowi, który przyjął go uszczęśliwiony.

— Cieszę się, bo zaczynam się już nudzić w tym luksusie. — Paweł wymownie wskazał ręką na pustą prawie butelkę. — Siadajcie panowie. Zaraz zadzwonię po drugą butelkę.

— Niech pan oszczędza pieniądze. Tu jest drogo. Mam ze sobą butelkę mojego ulubionego trunku. Destylowany w Kanadzie, ale chyba lepszy od szkockiej, to nie tylko moje zdanie. — Marcos podniósł palec i jego człowiek o mało się nie wyrócił zrywając się z fotela, by nalać do stojących na tacy szklanek. — Ale chyba jesteś zadowolony z przeprowadzki. Widzisz, tak się u nas żyje. Dlaczego wprowadziłeś się tak późno? — padło nagle pytanie.

Paweł był na to przygotowany. Zwiesił głowę z zawstydzonym uśmiechem.

— Jakaś kobieta? — Głos Marcosa był pełen wyrozumiałości.

— Zgadł pan. Jestem prawie zakochany. — Paweł powiedział to tak, jakby nie sprawiało mu przyjemności mówić o tym.

— To pięknie, w twoim wieku kochałem się często, a Paul kocha się co tydzień. Prawda, Paul?

— Goryl przytaknął skinieniem głowy uśmiechając się przy tym uśmiechem urodzonego alfonsa.

— Czy to Polka? — spytał Marcos.

— Tak, pracuje tutaj.

— Wiemy, wiemy — głos Marcosa był dobrotliwy. — Ale muszę cię zmartwić. Nasze plany uległy zmianie i nie będziesz mógł tu długo zostać. Musisz jechać do Polski.

— Kiedy?

— Pojutrze. Oto bilet na twój samolot. Odpowiada ci to, co?

— Wiedziałem, że ta przyjemność nie może trwać długo — w głosie Pawła wyczuwało się pewien smutek.

— Nie martw się. Zarobisz przecież kupę pieniędzy...

— A właśnie, ile? — przerwał obcesowo.

— Bardzo dużo. Prawie za nic masz u nas pięć tysięcy franków.

— Spodziewałem się więcej.

— Żadnych targów. Dajemy ci i tak najwięcej. W twojej sytuacji to majątek.

Paweł zrezygnowany machnął ręką. Marcos uśmiechnął się triumfująco.

— Wiedziałem, że jesteś rozsądnym chłopcem, i myślę, że nie będzie to twoja ostatnia praca u nas. Może przydasz się na coś w Polsce. Chcemy mieć ludzi wszędzie. Za rok przyjedziesz tutaj, najlepiej z kolegami, ty zarobisz najwięcej, a oni też skorzystają. Jesteś szczęściarzem, chłopcze. Trafiłeś na złotą żyłę. Z nami można tylko zyskać... — Mówił to z takim przekonaniem, że Paweł był już pewien, iż na razie nie mają żadnych podejrzeń.

— Może powiecie mi dokładnie, w jakim interesie pracuję, zawsze to przyjemniej wiedzieć — spróbował być ciekawy.

— Ale bezpieczniej nic wiedzieć -- zripostował szybko Marcos, po chwili jednak, chcąc złagodzić swoje słowa, dodał: — Jeżeli jednak chcesz. Uważam cię zresztą za pracownika z przyszłością, więc ci powiem. Chodzi o pewne specyfiki dość drogie i poszukiwane w Polsce. Istnieje jednak zakaz ich wwozu. A być może chodzi tu o chore dzieci. Przecież chciałbyś im pomóc? — z drwiącym uśmiechem spojrzął na Pawła.

— Bardzo chciałbym, a jeżeli za dobrą opłatą, to gotowy jestem pomagać wszystkim dzieciom świata — tak samo się uśmiechając odpowiedział Paweł.

— Widzę, że się rozumiemy. To najważniejsze. A teraz szczegóły. Towar będzie schowany w sposób wykluczający możliwość znalezienia go w walizce, którą doręczymy ci na godzinę przed odlotem. Będzie ona wyładowana różnymi nieważnymi przedmiotami, Na lotnisku w Warszawie wsiądziesz do autobusu wiozącego pasażerów do centrum miasta. Usiądzie przy tobie mężczyzna z lipcowym numerem *Paris Matchu*. Na okładce będzie portret Franco. Wsiadając on zabierze twoją walizkę, a na siedzeniu zostawi *Parie Matcha*, w którym będzie dla ciebie reszta pieniędzy.

— Nie dostanę więc od razu całej gotówki?

— Nic myśl, że chodzi tu o brak zaufania. Po prostu nasze przedsiębiorstwo w ten właśnie sposób dokonuje rozliczeń. Zwyczajowa sprawa, połowę dajemy przed wykonaniem zadania, a druga połowę po szczęśliwym zakończeniu.

— A jeżeli zakończenie nie będzie szczęśliwe? Marcos zachichotał radośnie, ale można było wyczuć, że chichot ten wywodzi się jeszcze z tradycji molierowskich. Ten gangsterski przedsiębiorca był wcale niezłym aktorem...



— To nam się nie zdarza, przedsięwzięcie jest najzupełniej pewne, nie ma żadnego ryzyka. Te pieniądze w każdym wypadku trafią do ciebie — sięgnął do kieszeni, wyciągając czarny wypchany — Ale, ale, mam też dla ciebie bardzo dobrą wiadomość - zrobił efektowną pauzę. — Postanowiono nie wliczać do twojego wynagrodzenia forsy, którą otrzymałeś podczas naszego ostatniego spotkania. Oto więc dwa i pół tysiąca franków. Reszta już niedługo w Warszawie — skrupulatnie odliczał banknoty.

Paweł szybkim ruchem zgarnął podsunięte mu pieniądze i schował do kieszeni.

— Jutro masz ostatni dzień na kupienie sobie czegoś. W tym kraju za psie pieniądze można dostać wszystko. Tutaj jest bilet. Spotkamy się na lotnisku na godzinę przed odlotem. Tam doręczymy ci walizkę. Czy wszystko zrozumiałeś?

— Oczywiście. Jak mógłbym się z wami skontaktować, kiedy przyjadę w przyszłym roku?

— Przypominasz sobie bar, w którym spotkałeś Witolda?

— Tak.

- Zajdź tam, kiedy przyjedziesz następnym razem. Witold przychodzi tam codziennie. Przypomnisz mu się i sprawa załatwiona. U mnie zawsze znajdziesz jakieś zajęcie. No, już czas, wszystko zostało powiedziane. Czekaj na lotnisku, a my cię znajdziemy — dopił powoli i wstał.

Jego młodszy kolega stał już od kilku sekund w wyczekującej postawie, trzymając usłużnie kapelusz. Paweł zastanawiał się, ile jest w tym wszystkim teatru i zapatrzenia w amerykańskie wzory, a ile rzeczywistego gangsterskiego folkloru. Wychodzili zostawiając na stole prawie pełną butelkę. Marcos przy drzwiach odwrócił się jeszcze.

— Myślę, że nie w głowie ci teraz robienie jakichkolwiek kawałów. Chyba oglądasz gangsterskie filmy, my, bracie, harujemy ciężko w podobny sposób, jak wam to pokazują.

Paweł wykrzywił twarz w grymasie takiego zdumienia, że Marcos z uśmiechem poklepał go po plecach.

— W porządku, chłopcze, jeszcze będą z ciebie ludzie.

Kiedy wyszli, przekręcił klucz w zamku i oparł się o drzwi. Później podszedł do stolika i napił się prosto z butelki. Whisky smakowała jak zwietrzała coca-cola.

— Mój drogi — powiedział do siebie czule — zarabiasz coraz więcej i nareszcie zaczynasz podobać MC ludziom.

Salski siedział przy biurku próbując na drewnianych liczydłach, które zastępowały mu zepsuty kalkulator, obliczyć przewidywane wpłaty z kontraktu z pewną japońską firmą, kiedy wpadł rozpromieniony Paweł z wieścią, że jeszcze dzisiaj odlatuje do kraju. Niespodziewanie wygrał konkurs „Afrodyta 11” i musi jak najszybciej odebrać nagrodę. Ofiarował obydwu paniom po małym bukietiku, która to rozrzutność została przyjęta przez pozostałych pracowników jako pierwsze objawy szaleństwa nawiedzającego młodych ludzi po niespodziewanym sukcesie.

— To nie kupi pan samochodu? — zauważył złośliwie Konrad.

— Raczej nie, ale chętnie przejadę się pańskim, gdy spotkamy się w kraju — starał się zachować powagę.

Konrad triumfująco spojrział na Szymańską, dając jej do zrozumienia, jak bardzo się pomyliła.

Salski z Pawłem rozmawiali jeszcze chwilę stojąc w małym korytarzyku przy awaryjnym wyjściu. Małe, wąskie okno wychodziło na placyk, gdzie między zaparkowanymi samochodami dzieci bawiły się w sobie tylko znaną grę. Wyszli stamtąd i Salski nic miał zbyt wesołej miny, Paweł zaś rzucał dowcipami na prawo i lewo. Umówił się z Elżbietą na pożegnalną kawę, pożegnał się ze wszystkimi, wyszedł na rozpróżnioną ulicę i wreszcie przestał się uśmiechać.

Pół godziny później Salski przypomniał sobie o ważnym spotkaniu z Japończykiem i także wyszedł.

Szli teraz paryskimi ulicami w przeciwnych kierunkach. Wiedzieli, że nie spotkają się już w tym mieście. Ten dzień miał być ostatnim dniem ich wspólnego działania.

Paweł wszedł do bistro przy Porte d'Orleans.

Chciało mu się pić, ale nic zauważył, kiedy postawiono przed nim pełny kufel. Był zmęczony trzykrotnym zmienianiem metra w drodze do „Corcxu”. Miał jednak pewność, że nikt go nie śledził. Marcos uznał, że dalsza inwigilacja nic już nie da.

Niedawno prawie przez pół godziny rozmawiał z majorem. Oczywiście ten nie był zadowolony, uważając, że Paweł przekroczył swoje kompetencje, lecz kiedy dowiedział się o dzisiejszym powrocie w charakterze przemytnika, obiecał specjalne powitanie.

— I pamiętaj, tylko żadnych głupstw, bo piwo, jakiego nawarzyłeś, wypijesz sam — takie były ostatnie słowa majora Biesagi.

Wypił szybko piwo. Dwie krople spadły na zostawioną przeci kogoś gazetę. Wiedział, że teraz musi iść do Scalnego. Było to ryzykowne, a być może niepotrzebne, ale chciał tam iść. Z jego planu, z chęci poznania, jakimi motywami kierowała się Rygielska, z całej zabawy w psychologa, nie wyszło nic. Wypadki potoczyły się zupełnie inaczej. O Rygielskiej wiedział tylko to, co powiedziała mu Elżbieta. Było to bardzo mało, ale dawało mu dziwną, coraz większą, choć niczym nie uzasadnioną pewność, że była niewinna. Winna mogła być więc tylko jedna osoba. I właśnie jej nazwisko spodziewał się i dzisiaj usłyszeć z ust Scalnego. Dlatego musiał tam jeszcze pójść przed odlotem. Zapłacił i wyszedł na spotkanie z Elżbietą.

Była punktualna. Przyszła zaczerwieniona, zdenerwowana, jakby chciała się o coś spytać. Widać było, że bardzo go polubiła. Nic wiedziała teraz, jak ma wyglądać ich pożegnanie. Chciała mu pomagać w pakowaniu bagaży i była bardzo rozczarowana, kiedy powiedział, że walizka jest już spakowana.

Szli, potrąceni przez ludzi, w stronę rue Morande. Ona nie zdając sobie sprawy, gdzie idą, on prowadząc w stronę mieszkania, którego adres dał mu wczoraj Scalny. Minęli ten dom i Paweł zostawił nieświadomą niczego Elżbietę w pobliskiej kafejce, obiecując wrócić za parę minut.

Kamienica, w której mieszkał Scalny, była okazała. Na ulicy samochody były zaparkowane we wszystkich możliwych miejscach. Paweł nie widział wokoło nic podejrzanego. Winda przypominała luksusowy wagon kolejowy. Wyścielana czerwonym aksamitem, z olbrzymim lustrem na jednej ze ścian, wiozła na czwarte piętro wolno, dostojnie poskrzypując. Wysiadł, chociaż interesowało go piętro trzecie. Spojrzał z góry na niższe piętro. Schody wykładane zielonym chodnikiem były puste. Na każdym półpiętrze stały marmurowe ławeczki.

Bezszelestnie zszedł na trzecie piętro i zatrzymał się przed drzwiami z numerem 31. Nacisnął dzwonek. Na schodach i za drzwiami panowała cisza. Paweł nic lubił takiej ciszy. Zadzwoił jeszcze raz. Scalny wyglądał na poważnego człowieka i jeżeli go nic było, to tylko ważna sprawa mogła go zatrzymać. Samolot odlatywał za trzy godziny. Nic mógł czy nie chciał się ze mną zobaczyć — myślał Paweł. Postanowił jeszcze chwilę poczekać. Wezwana przez kogoś winda rozpoczęła powolną drogę na dół. Trzasnęły drzwi i Paweł oparty o ścianę obserwował zwijające się z wysiłkiem stalowe liny. Pojawiła się wreszcie kabina, przez oszklone drzwi widać było mężczyznę w kapeluszu. Nie był to Scalny i winda pojechała wyżej.

Paweł wrócił pod drzwi do mieszkania Scalnego. Winda zatrzymała się gdzieś na szóstym piętrze. Zadzwoił jeszcze raz, naciskając jednocześnie solidnie wyglądającą mosiężną klamkę. Drzwi ustąpiły tak nagle i bezszelestnie, że cofnął się o krok.

W środku panowała cisza zakłócona jedynie cichym brzęczeniem. Nic lubił składać takich wizyt, lecz wszedł. Znalazł się w wąskim korytarzu, w którym stały jedynie dwa thonetowskie krzesła. Do dalszych pomieszczeń prowadziły tylko jedne drzwi i właśnie zza nich wydobywał się dźwięk, w którym można było teraz rozpoznać melodię.

Zapukał, a kiedy nikt go nie zaprosił, wszedł.

Pokój był duży, z licznymi elementami orientalnymi. Kanapy, pufy i dywany na ścianach i na podłodze nadawały mu swoją miękkością charakter kobiecego buduaru. Scalny leżał na jednej z kanap. Mała dziurka w czole przedzielała jego wspaniałe krzaczaste brwi. Na twarzy utrwalał się sceptyczny, a może ironiczny wyraz.

W pokoju unosił się zapach mocnych cygar. Na stolczku przy kanapie stała butelka i dwie szklanki. Wszystko było zwyczajne, oprócz dziury w czole Wiktora Scalnego. Nic było tu nic więcej do roboty. Jeszcze jedna zagadka dla policji. Wychodząc, usłyszał Paweł w cicho grającym radiu Gilberta Becaud śpiewającego o troskach i radościach mieszczucha.

Nie było to dobre epitafium dla człowieka, który nigdy mieszczuchem nie był.

Wracał przez wąski korytarz. Otworzył drzwi i wtedy jego doskonały słuch, z którego zawsze był dumny, uratował mu życie. Usłyszał coś, co mogło być czymś oddechem. Tego, że nie może to być oddech Scalnego, był pewien. Zamiast wice wyjść normalnym krokiem, wysunął tylko lekko głowę. Rozległ się świst i przed samym nosem mignęła mu sprężyna z ołowianym końcem. Przeleciała tak blisko, że poczuł na twarzy powiew powietrza.

Nie było czasu na myślenie. Złapał rękę trzymającą sprężynę, zrobił przewrót do tyłu i ciężarem swojego ciała wciągnął do wnętrza dżentelmena w kapeluszu, którego przedtem zauważył w windzie. Już wykonując ten chwyt wiedział, że przeprawa nie będzie łatwa. Facet ważył tyle, jakby miał w kieszeniach rozmontowaną wieżę Effla, i na nieszczęście obdarzony był nietypową siłą. Po pierwszym zaskoczeniu, kiedy tak niespodziewanie znalazł się w korytarzu, opanował się i złapał Pawia za gardło chcąc skończyć z nim bardziej konwencjonalną metodą niż pistolet czy pałka. W głowie Pawła, który nigdy nie był duszony, odbywała się przyspieszona projekcja wszystkich chwytów, jakie godzinami musieli przerabiać w Szczytnie z wiecznie niezadowolonym sierżantem Matulą. Ale pomimo blokady na łokcie, ręce faceta coraz silniej się zaciskały. Zwolnił więc jedną rękę przeciwnika, który mając większą swobodę zacisnął dłoń na jego szyi jeszcze mocniej i ostatkiem sił rozstawiwszy palce w kształcie litery V, wbił je w oczy tamtego. Facet zawył i puścił gardło. Paweł odepchnął go od siebie, wydało mu się, że odpycha tramwaj, i złapał porzuconą przez niego pałkę. Kiedy uderzył, ręka napastnika wyciągała już z wewnętrznej kieszeni pistolet. Nie mógł mu się jednak przydać. Pałka sprawiła, że jej właściciel osunął się z jękiem na podłogę.

Paweł oddychał z trudem. Gardło miał opuchnięte, o przełknięciu śliny nie mogło być mowy. Teraz już nie było czasu do stracenia. Morderca Scalnego wiedział, że przyjdzie ktoś, kogo warto sprzątnąć albo przynajmniej ogłuszyć i włożyć mu w rękę pistolet. Jeżeli był wynajęty przez Marcosa, któremu Scalny ze swoim szacunkiem w świecie przestępczym już dawno przeszkadzał, to nie może zobaczyć się ze swoim szefem przed odlotem Pawła. Walcząc twarzą w twarz, mógłby go doskonale zapamiętać i opisać. Nie było innego wyjścia. Sprawdził kieszenie zbira, znalazł w nich klucze. Podniósł mu powiekę. Był ciągle nieprzytomny. W jego ręce tkwił niepotrzebny pistolet. Paweł ostrożnie, żeby nie nadepnąć na kapelusz leżący na ziemi, wyszedł i zamknął znalezionym kluczem drzwi od mieszkania. Klucz, który zostawił w zamku, i klamkę starannie wytarł.

W windzie spojrzął w lustro. Nic wyglądał dobrze. Elżbieta na jego widok, pomimo że starał się doprowadzić do porządku, aż westchnęła.

— Co się stało, wpadłeś pod samochód? — zażartowała dzielnie.

— Prawie, i był to spory samochód. No, ale teraz musimy już iść do hotelu po rzeczy.

Nie pytała o nic więcej ani teraz, ani później, kiedy zostawił ją przed budką telefoniczną, aby zawiadomić najbliższy posterunek policji, że na ulicy Morande czeka ich sporo pracy ułatwionej o tyle, że morderca leży w przedpokoju.

Wiedziała tylko, że będzie z Pawłem jeszcze niecałe dwie godziny.

Od trzech godzin Salski rozpierał się na ławce obserwując wejście do firmy spedycyjnej. Czarne BMW właściciela stało z niedbale-skręconymi przednimi kołami przed głównym wejściem. Sterta niedopałków rosła, a Marcos nie wychodził.

Na ławce zmieniali się przypadkowi przechodnie. Usiadła na moment niania z małą dziewczynką, później rozlepiacz plakatów palił kilka minut krótką fajkę. Salski zaczynał już wątpić w powodzenie całej akcji. Za godzinę miał odlecieć samolot Pawła.

Punktualnie o drugiej trzydzieści niedaleko BMW podjechało zniszczone 2-CV. Salski nigdy nie zwróciłby uwagi na ten samochód, gdyby nie jego stan. Wydawało się dziwne, że nie rozleciał się jeszcze pomimo drutów i plastrów, jakim: wzmocniona była karoseria. Nikt z niego nie wysiadał.

Pięć minut później na ulicę wyszedł Marcos. Był sam. Kroczył jak zwykle elegancki, przez rękę przełożony miał jasny trencz. Szedł szybkim krokiem w stronę swojego samochodu. Nie zatrzymał się jednak przy nim, doszedł do 2-CV, którego drzwiczki nagle się otworzyły. Wsiadł i citroen ruszył z niespodziewaną jak na jego możliwości szybkością.

Salski ruszył biegiem do wypożyczonego motoroweru, którego użycie w dzisiejszej akcji doradził Pawłowi, i także włączył się w ruch uliczny.

Już na pierwszym skrzyżowaniu zaczął przesuwać się do przodu między unieruchomionymi samochodami. Interesujący go citroen 2-CV stał na prawym pasie z włączonym kierunkowskazem, światło zmieniło się i samochód ruszył. Salski tracił dystans na prostej, lecz każde czerwone światło pozwalało mu go odrobić. Samochodowy tłok był dzisiaj jego sprzymierzeńcem. Nic musiał jednak jechać długo. Z daleka zobaczył, że citroen zatrzymał się. Jadąc o wiele wolniej mógł zrobić to samo, nie zwracając tym wcale uwagi pasażerów citroena. Z samochodu wysiadł młody, wysoki człowiek i wszedł do końcowego budynekczku.

Na ulicy było mało przechodniów i Salski bał .się podjechać bliżej. Obserwował wszystko Z odległości pięćdziesięciu metrów-, ukryty za dostawczą ciężarówką.

Po kilku minutach młodzieniec wyszedł niosąc elegancką walizeczkę z naklejonym: reklamami hoteli. Podał ją przez otwarte drzwiczki i samochód ruszył dalej już bez niego.

Salski ruszył także wolno i przeczytał reklamę na budynku, do którego wchodził teraz jeszcze raz czarnowłosy mężczyzna. Był to warsztat samochodowy. Właściciele miał dwóch, o czym donosił wielki napis. Obaj mieli włoskie nazwiska, a specjalizowali się przy tym w samochodach amerykańskich.

Nie jechał już dalej przeświadczony, że citroen pojedzie teraz bezpośrednio na lotnisko. Miał też pewność, że plan, jaki wymyślili razem z Pawłem, udał się. Dotarł być może do miejsca najbardziej poszukiwanego przez policję, do miejsca, w którym przechowywano większe ilości narkotyków i stamtąd rozprowadzano. W pierwszym napotkanym automacie telefonicznym wykrecił podany przez Pawła numer. Kiedy usłyszał w słuchawce męski głos, powiedział:

— Nazywam się Giovanni Losedo — mówił głosem faceta, który francuski zna od dwóch tygodni. — Jeżeli chce pan, komisarzu, być jutro na zdjęciach wszystkich gazet, to proszę odwiedzić ze swoimi chłopakami garaże braci Gamma na ulicy Basfroi. Mają tam wystarczający zapas białego proszku, aby cały Paryż chodził weselszy. Marcos rozprowadza to po świecie i może śmiać się z policji

— Jesteś miły, synu południa, ale skąd masz mój bezpośredni telefon.

— Proszę się nie martwić! Dołożyłem do tego interesu tylko trzysta franków i myślę jeszcze odbić je sobie.

— W jaki sposób chcesz to zrobić, synu?

— To moja sprawa, a pańską niech będzie znalezienie towaru, jeżeli tylko spryt pańskich ludzi pozwoli na to — odłożył słuchawkę nic chcąc przedłużać rozmowy.

W barze, do którego wszedł potem, było przytulnie i cicho, a właściciel nic wyglądał na handlarza narkotykami. Dla Salskiego było to teraz ważne.

Po wcześniejszym pożegnaniu się z Elżbietą Paweł przechadzał się nerwowo po hali lotniska. Szept mówiącej do mikrofonu panienci już od dawna zachęcał podróżnych udających się do Warszawy, aby przystępowali do odprawy paszportowej, a Marcosa ciągle nie było.

Na trzy minuty przed zamknięciem wejścia do Pawła podszedł jakiś ognisty brunet, o posturze starszego pikolaka, zaczął go klepać po plecach i prawie brać się do całowania. Chcąc tego uniknąć, odwrócił lekko głowę. Oddalony zaledwie o kilka metrów stał Marcos uśmiechając się dobrotliwie na widok serdecznego pożegnania dwóch młodych ludzi. Paweł nie chcąc pozostać w tyle, klepnął czerniawego w plecy, aż tamten prawie przysiadł. Oderwał się wreszcie od Pawła kiwając mu jeszcze na pożegnanie ręką.

Kiedy ten zniecierpliwiony złapał swoją walizkę, zobaczył przy niej drugą, czarną. Spojrzał na Marcosa chcąc się upewnić, ale obok nikogo już nie było. Z determinacją złapał więc obie walizki i pognął w stronę wejścia. Obsługa patrzyła na niego z wyrzutem w oczach. Kontrola paszportowa i celna trwała sekundy.

W towarzystwie uroczej panienci wsiadł do samochodu, który zawiózł go do samolotu, gdzie byli już wszyscy pasażerowie. Lot rozpoczął się punktualnie. Z westchnieniem ulgi pogrążył się w wygodnym fotelu. Jego zagraniczny urlop skończył się. Oprócz wplątania się w aferę, która miała według niego położyć

kres przemytowi narkotyków, nic zrobił nic ai: niczego pewnego się nic dowiedział. Może tylko tego, że Rygielska była niewinna. Ale na to nie miał właściwie żadnych dowodów. Zabawiał się w detektywa, a tego major wyraźnie mu zabronił. Wyobraził już sobie jego minę po przyjeździe i żeby o tym nie myśleć, zaczął przyglądać się pewnej starszej Amerykance lecącej chyba w pierwsze odwiedziny do starego kraju i tak przejętej tym faktem, że z dziesięciominutową dokładnością, nie patrząc przy tym na zegarek, wyciągała butelkę whisky i brała z niej potężny łyk. Paweł zaczął się martwić, czy wzięła jej odpowiednią ilość, bo butelka zaczęła pokazywać dno, a jej właścicielka nawet nie zmieniła wyrazu twarzy.

Na warszawskim lotnisku obsługa pasażerów z Paryża nie trwała długo. Celniczka obsługująca Pawła nic przejrzała jego bagażu pytając się tylko, czy nic wiezie czegoś nielegalnego. Zaprzeczył i kiedy pozwoliła mu przejść, zobaczył w jej oczach wesołe błyski.

Na Pawia zdawał się nikt nie czekać. Ale on wśród tłumu witających się bez trudu dostrzegł znajome twarze.

Autobus odwozący przybyszów do centrum miasta czekał już na pasażerów, Nie było w nim tłok;!, gdyż ci, na których czekała rodzina, odjeżdżali innymi środkami lokomocji. Lecąca z Paryża Amerykanka szła bardzo sztywno, w przekrzywionym kapeluszu, dzielnie wytrzymując karesy licznej rodziny.

Usiadł z przodu autobusu, swoje walizki umieszczając w przejściu między dwoma rzędami foteli. Za nim siedział sierżant Jurczyk, jeden z najbardziej doświadczonych ludzi Komendy Głównej. Paweł nie rozglądał się. Patrzył na plecy kierowcy czytającego Życie Warszawy. Wreszcie kierowca odłożył gazetę i włączył silnik. Obok Pawła usiadł elegancki, trzydziestoletni może mężczyzna. Przejechali dwa przystanki, kiedy tamten wyjął z kieszeni Paris Matcha. Z okładki uśmiechał się do Pawia zmarły już dość dawno generał branco. Tamten przeglądał pismo nic zwracając na Pawła uwagi. Autobus wjeżdżał w śródmiejskie ulice, by zatrzymać się wreszcie na placu Konstytucji. Dopiero wtedy mężczyzna spojrzał na niego uważnie, odwrócił się do wyjścia, zabierając oprócz swojej skórzanej torby jedną z walizek Pawła. Oczywiście właściwą.

Wysiedli nic do siebie nie mówiąc. Mężczyzna podążył w stronę Marszałkowskiej ciągnąc za sobą niewidoczną, doborową kompanię wywiadowców.

Do stojącego na chodniku Pawła podjechała wolna taksówka. Zatrzymał ją. Kierowca pomógł mu włożyć walizkę do bagażnika. Kiedy wsiadł, pierwszym witającym go był rozparty na samochodowej kanapie major Biesaga.

— Reasumując — powiedział wygodnie siedzący w fotelu major po wysłuchaniu wielogodzinnego meldunku Pawia — to powinienem cię zdegradować do stopnia szeregowca. Wplątałeś się w sprawy, którymi nie miałeś prawa czynnie się interesować. Jednak biorąc, pod uwagę, że nie działałeś służbowo, tylko marnowałeś swój urlop, a wyniki tego wszystkiego nie są najgorsze, być może wywalczę dla ciebie dodatkowy tydzień urlopu, który radzę jednak spędzić na Mazurach.

Po tonie majora i po minie siedzącego obok pułkownika Paweł zorientował się, że sytuacja nie jest taka zła.

— Kapitan Zawisławski także nie próżnował i w zasadzie jesteśmy gotowi do oficjalnego zakończenia śledztwa, To, co powiedziałeś przed chwilą o niewinności Rygielskiej, znalazło potwierdzenie także u nas. Nazajutrz po twoim wyjeździe przyjechał do Polski Jacek Lewkowicz, narzeczony Rygielskiej. Opowiedział nam, na jakiej podstawie wierzyła ona w większą sumę, którą miała otrzymać. Mówiła o gratyfikacji

cji wszystkim, ale tylko narzeczonemu powiedziała, zresztą wbrew danemu wcześniej słowu, kio jej te pieniądze obiecał. Kiedy ją zamordowano, Lewkowicz przestraszył się i wrócił do Polski. To, co nam powiedział, było zgodne z teorią, do której przechylałem się od początku. Mamy także inny dowód, o którym sobie przeczytasz w aktach. Człowiek, o którego winie jesteśmy w pełni przekonani, chodzi, co prawda, jeszcze na wolności, ale teraz, w związku z przywiezieniem przez ciebie narkotyków i przekazaniem ich temu Francuzowi, spodziewamy się otrzymać dowód koronny. Dzisiaj Paul Berger, bo tak nazywa się twój znajomy z Paris Matchem, przekazał w hotelu „Forum” cały ładunek obywatelowi szwedzkiemu Larsenowi, który samochodem volvo jedzie teraz w kierunku Świnoujścia. Oczywiście pod naszą kontrolą. Zostanie aresztowany, kiedy w czasie odprawy celnej ujawnione zostanie, co kryje podwójne dno czarnej walizki. Paul Berger, pomimo że spełnił swoją misję, nic wyjeżdża. Wiemy, że będzie chciał się skontaktować z człowiekiem, którego mamy na oku. Zawisniewski kieruje całą akcją. Jeżeli chcesz, to przyłącz się do niego.

Kiedy Paweł wychodził z gabinetu, major rzucił od niechcienia:

— Może też ucieszy cię fakt, że w piątek przylatuje kapitan Salski ze Służby Bezpieczeństwa, którym podobno bardzo dzielnie się opiekowałeś. Myślę, że będziecie razem mieli co wspominać.

W pokoju Zawisniewskiego co chwilę meldowali się ludzie z wydziału operacyjnego. A on wydawał dyspozycje spokojnie i precyzyjnie, nic dając nikomu możliwości działania poza jego kontrolą. Paweł przeczytał właśnie ostatnie materiały. Już na początku śledztwa zawiodła go intuicja i nie zmieniła tego fakt, że w Paryżu dostrzegł swoją pomyłkę. Wpadł w wisielczy humor, a po wiadomości o Salskim czekał tylko na zawiadomienie o dalszych możliwościach kontynuowania nauki w Szczytnie

— Nie przejmuj się, stary — pocieszał go Zawisniewski. — To był wyjątkowo trudny przeciwnik. Jeden major nie dawał się zwieść pozorom i kazał, by ani na chwilę nie spuszczano go z oczu.

— Mimo to chętnie wysłuchiwał moich koncepcji.

— Moich także. Na szczęście dzisiejsza kryminalistyka opiera się na współpracy różnic myślących ludzi, a nie na zdolnych samotnych detektywach — w dobrotliwym głosie Zawisniewskiego usłyszał ironiczną nutę. — Przeczytaj jeszcze meldunki o poczynaniach Paula Bergera i będziesz miał dokładny obraz sytuacji. Myślę, że jeszcze dzisiaj nastąpi aresztowanie.

Jakby na potwierdzenie tych słów w słuchawce z radiotelefonu odezwał się głos wywiadowcy zawiadamiający, że Berger wypoyczył! właśnie z hotelu białego fiata i szykuje się do przejażdżki.

— Tu „sarna”, biały fiat jedzie w stronę ronda Waszyngtona — zabrzmiał w słuchawkach głos wywiadowcy prowadzącego Paula Bergera.

— Jedziesz ciągle za nim. Bądź ostrożny. Powinien jechać później w kierunku Wału Miedzeszyńskiego — odpowiedział Zawisniewski.

Oprócz niego i Pawia w samochodzie było jeszcze dwóch funkcjonariuszy. Major nic pojechał, gdyż jak zauważył z uśmiechem, wystawił im właściwego człowieka i dalej muszą sobie dać radę sami.

— Jedzie wałem. Jest mały ruch i muszę zwolnić. Puszczam go na jakiś kilometr, żeby się nie zorientował.

— Bardzo dobrze — pochwalił Zawisniewski. — I tak wiemy, dokąd jedzie.

Paweł myślał zawzięcie o człowieku, który starał się wyprowadzić ich w pole sprytnym, a jednocześnie prostym planem,

— Tu „sarna”, skręca w ulicę Kadetów na osiedlu Las.

— W porządku, dodaj gazu i jedź szybko do przodu, po dwóch kilometrach zawróć. My już powinniśmy tam być. Obstawisz wyjście. Jest tam od dawna trzech naszych ludzi w cywilu.

Ich samochód także dodał gazu. Jechali Walem Miedzeszyńskim z niedozwoloną szybkością. Skręcili w Kadetów. Z daleka było widać białego fiata stojącego przy czerwonym, nie wykończonym domku. Kierowca zatrzymał cicho samochód o kilkanaście metrów dalej. Natychmiast podszedł do niego mężczyzna w welwetowej marynarce i skinął głową. Kiedy byli przy furtce, z przeciwka nadjeżdżał sierżant Majkowski z resztą ludzi. Furka, o dziwo, nie była zamknięta.

Zabrział dzwonek, długa cisza i nikogo przy drzwiach. Ludzie Hajkowskiego rozbiegli się po ogrodzie. Wreszcie zachrobotał zamek i Kowalewski otworzył. By! w szlafroku z wielbłądziej wełny i z fularem pod szyją.

—Panowie do mnie? — zdziwił się.

Milicjanci rozbiegli się po pokojach. Z ogrodu słychać było krzyki i szamotanie. Za chwilę wprowadzono Francuza w przekrzywionym krawacie. Kowalewski usiadł na fotelu zakrywając ręką twarz.

Zawiśniewski uniósł obrus, pod który szybko i niedbale włożono plik dolarów.

— Nie muszę chyba mówić, że przyszedł pan aresztować po raz wtóry i tym razem ostateczny. Jest pan winien przemytu narkotyków, a także zaplanowaniu morderstwa Lidii Rygielskiej, której śmierć miała dla pana stanowić alibi.

Kiedy wprowadzono Kowalewskiego, nadjechał właśnie major i po wysłuchaniu meldunku Zawiśniewskiego powiedział do Pawła:

— Udało się. W powieści sensacyjnej byłby jeszcze efektowny pościg. A u nas żadnych komplikacji. Czy to cię trochę nic nudzi?

W gabinecie majora było ciemno od dymu. Na fotelach i krzesłach siedzieli wszyscy zainteresowani sprawą. Kowalewski przyznał się do winy nadspodziewanie łatwo. Obciążył go jeszcze Paul Berger, który chciał jak najszybciej wyjechać z Polski za kaucją. Teraz w obliczu wpadki Kowalewski pomimo całej przydatności dla gangu nie przedstawiał już dla nich wartości. Przesłuchiwany wyznał, że chciał być bogaty, aby zaimponować swojej żonie, wypominającej mu nieudolność i kupioną przed laty maturę. Skwapliwie więc skorzystał z propozycji człowieka poznanego na ś przyjęciu. Do współpracy z gangiem przy-, z gwałtowną chęcią zdobycia wielkich pieniędzy, a także z ciekawymi pomysłami. Zyskał więc dobrą opinię wśród gangsterów, uważano za człowieka z przemytniczą przyszłością, a nie jednorazowego kuriera. Dlatego też postanowiono zaopiekować się Rygielską w razie jego wpadki i stworzyć mu w ten sposób kunsztownie obmyślane alibi. „Zaopiekować się, może porwać, ale nie zamordować” — zapewniał Kowalewski płacząc. On sam nawiązał z nią bliższy kontakt pod pozorem pomocy, jakiej miała mu udzielić przy wymyślonym przez niego wspaniałym kontrakcie. Obiecywał jej złote góry. Dokładnie mieli omówić sprawę w Polsce w czasie urlopu, który jej załatwił. Przy okazji wspomnieli, że nie ma porządnej walizy. Rygielska, co przewidział, powiedziała o tym w biurze. W wypadku, gdyby przyjechał do Polski bezpiecznie, czego by! w zasadzie pewien, miał jej powiedzieć, że sprawa kontraktu odwlekła się na pewien czas. Kiedy wpadł, ludzie Marcosa zaproponowali Rygielskiej pokój w hotelu na koszt wspomnianej, nie istniejącej resztą firmy. Nieświadoma



niczego dziewczyna zgodziła się tam zamieszkać i została zamordowana. Jej śmierć w dość luksusowym hotelu miała także dać do myślenia, sugerować jej powiązania z gangiem, a tym samym i niewinność Kowalewskiego. Do Polski nadszedł telegram, którego treść i podpis on sam wcześniej wymyślił i który stanowił dalszą część jego alibi.

Wina Rygielskiej miała być podana milicji jak na talerzu, a on miał jej konsekwentnie bronić robiąc z siebie człowieka tępego, ale bez wątplenia niewinnego.

— Panie majorze, kiedy uwierzy! pan w winę Kowalewskiego? — spytał Paweł.

— Zawsze w nią wierzyłem i byłem zadowolony, kiedy zacząłeś go tak gwałtownie bronić. Pomyślałem sobie, że jeżeli jest inteligentny, to tego właśnie sobie by życzył. Ostatecznie nic wysłała się za granicę handlowców nie umiających kojarzyć pewnych faktów, a on usiłował nam swoim znakomitym zresztą aktorstwem wmówić, że jest matosem nie umiającym zliczyć do trzech. Wtedy wzięliście go w obronę, a ja wam na to pozwoliłem. Wreszcie zwolniliśmy go, gdyż nie można nikogo skazać za brak inteligencji, a sąd także mógłby się sugerować jego naiwnością. Nie mógł wyjechać na razie z Polski. Pozwoliliśmy ci wtedy spędzić urlop w Paryżu, licząc, że sprawa posunie się dalej. Inwigilowany bez przerwy Kowalewski był pewny, że wywiódł nas w pole i wysłał zaszyfowaną pocztówkę. Wtedy Marcos zaczął się spieszyć, a chcąc poznać szczegóły, wysłał z Pawłem, który im się szczęśliwie nawinał, także specjalnego wysłannika. Był nim Paul Berger. Miał odebrać przewiezione narkotyki, przekazać Larsenowi i zainkasować gotówkę. Miał także odwiedzić i opłacić Kowalewskiego, gdyż jak mówiłem, dalsza współpraca z nim była przewidywana. Czekaliśmy więc na te odwiedziny — major zapalił fajkę.

Paweł miał niewyraźną minę. Teraz przypomniał sobie, iż Szymańska dwukrotnie podkreślała, że to Kowalewski, a nie odwrotnie, zaprosił Rygielską do knajpy „U Gastona”. On, ofiara rzekomej intrygi, zapraszał dziewczynę do podejrzanej restauracji. To samo powinno było Pawłowi dać wiele do myślenia.

— Trzeba przyznać, że niepowodzenia Kowalewskiego w kontaktach z kobietami bardzo mu zaszkodziły, także w czasie tego ryzykownego przedsięwzięcia — kontynuował spokojnie major uśmiechając się przy tym lekko. — Pomyśl z Rygielską był dobry. Można było nawet uwierzyć, że to ona wciągnęła go w to wszystko. Jednakże ustawiając z nią sprawę na gruncie koleżeńskim nie mógł w pełni liczyć na jej dyskrecję. Nie będąc z nim związana uczuciowo potraktowała sprawę po przyjacielsku, czyli, jak to się często u kobiet zdarza, niezbyt poważnie. Powiedziała o obietnicy wysokiego zarobku narzeczonemu, napisała o tym do matki. I to było zgodne z planem Kowalewskiego, który starał się później zasugerować, że pieniądze te miały pochodzić z przemytniczego źródła. Nie przewidział jednak tego, że Rygielska wbrew jego zaleceniom powie także narzeczonemu, kto jej to wszystko obiecał. Kiedy ją zamordowano, Jacek Lewkowicz zorientował się, że za tym wszystkim kryje się coś, czego nie jest w stanie zrozumieć, i na wszelki wypadek wrócił szybko do Polski. Jego zeznania bardzo nam pomogły. Można mniemać, że gdyby Rygielska została kochanką Kowalewskiego, być może nie powiedziała by narzeczonemu, z czyjej to poręki spodziewa się większej gotówki, a my nie mielibyśmy kolejnej poszlaki. Teraz Kowalewski próbuje nam opowiadać, jak to nigdy nie był szczęśliwy i jak bardzo chciał nim być, mając pieniądze. Jest to ciekawy lemat do pracy magisterskiej pod tytułem: „Nieprawidłowości w życiu małżeńskim a przestępstwo pospolite” — major był w coraz lepszym humorze. ? No cóż, i w tym nic miał szczęścia. Zresztą opuściło ono także francuskich kolegów. Wczoraj dowiedziałem się od komisarza Lefevre o aresztowaniach. Odnaleziono miejsce, gdzie przechowywano narkotyki — major mrugnął w kierunku Pawia. — Ale Marcos pozostaje ciągle na wolności, gdyż podobno nie można mu nic udowodnić. To oczywiście już nie nasza sprawa.

Narada dobiegała końca. Paweł poprosił majora o możliwość wcześniejszego wyjścia. Dzisiaj po południu miał przylecieć Tomasz Salski, wiozący być może pozdrowienia od dziewczyny, o której Paweł zaczynał coraz częściej myśleć.

